

państwowy instytut wydawniczy



LEONID
PIERWOMAJSKI
czarny
bród

czarny
bród

Państwowy
Instytut
Wydawniczy

LEONID
PIERWOMAJSKI
czarny
bród

Przełożył z ukraińskiego
Adam Galis
Ilustrował
Marek Sapetto

Tytuł oryginału
«Czornyj Brid»

Okładkę projektował
Wojciech Freudenreich

Rozległy obszar nocy po obu stronach drogi skurczył się nagle, samochód wpełzł do długiej zakrzywionej szczeliny, wzdłuż której bieleły niejasno niskie, ślepe domy.

Śnieg już spłynął, pod kołami wozu głucho dudniła zmarznięta ziemia.

Kapitan Berestowiec zastukał niecierpliwie butami w blaszaną ścianę szoferki. Całą drogę dukał mu marcowy wiatr wciskający się przez rozbite okienko; teraz ucichł w ciasnej ulicy, lecz wskutek tego zimno i ciemności stały się nie do zniesienia.

Berestowiec z żalem pomyślał o swym wytartym kożuszku — trzeba go było włożyć na drogę, jak radził Kalenik Timczenko. Może zrobiłby tak, ale jak się pokazać w dowództwie artylerii w kożuszku z nadpalonym kołnierzem? Gdyby nie owa armata, która utonęła w bagnisku, uszedłby może kożuszek, lecz po takiej przygodzie na moczarach nie należy drażnić sztabowych pedantów, musiał pojechać w szynelu.

— Czarny Bród, połowa drogi — przez hurkot nadwozia na wybojach przebił się głos kierowcy. — Zanocujemy tutaj? W takiej ciemnicy daleko nie zajedziemy.

Rzeczywiście warto by przenocować czy przynajmniej ogrzać się w ciepłej chacie, kiedy indziej kapitan ucieszyłby się z takiej okazji. Ale w tej

chwili pytanie kierowcy rozżłościło go. Kazano mu zgłosić się w dowództwie artylerii o dziewiątej zero-zero. Trzeba się pospieszyć.

Nie miał prawa spóźnić się bez uzasadnionego powodu, nie mógł powoływać się na zimno ani na ciemną noc, ani na zakaz włączania reflektorów w strefie przyfrontowej. Trzeba jechać dalej. Inna sprawa, że można się znaleźć w przydrożnym rowie albo nadzieć na wóz nadjeżdżający z przeciwnej strony ze zgaszonymi latarniami — no cóż, wtedy pogruchotane kości zaświadczą, iż kapitan Berestowiec usiłował ściśle wykonać rozkaz.

Ponieważ działo zostało stracone nie w bitwie, lecz w trakcie przemarszu, trzeba zgłosić się z raportem punktualnie. Oczywiście nic z tego wszystkiego nie wyniknie — ale będzie musiał gadać, pisać — a tego kapitan Berestowiec bardzo nie lubi, prawdę powiedziawszy od dawna zapomniał, jak się temperuje ołówek.

— Jak postanawiacie, towarzyszu kapitanie?

W pytaniu kierowcy brzmiało nie ukrywane zniecierpliwienie — wóz zatrzymał się przed posterunkiem kontrolnym.

Do szoferki wpełzła zamazana plama żółtego światła, z trudem można było dostrzec za nią wąsatą twarz żołnierza, jakby ściętą z dołu podniesionym kołnierzem szynela.

— Dokąd? — spytał żołnierz i zgasił latarkę, jego głowa od razu utonąła w mroku. — Mostek za Kosarewką zawalił się pod czołgiem. Saperzy już pojechali, ale nie naprawią przed świtem.

Zmęczony kierowca chrząknął z zadowolenia i zaczął szukać machorki w kieszeni, lecz kapitan

Berestowiec nie ucieszył się wcale, choć na wypadek spóźnienia mostek pod Kosarewką mógłby usprawiedliwić wszystko. Gdzie mieli oczy ci durnie-czołgiści, którzy napatoczyli się na dziurawy mostek. Teraz nocuj przez nich w Czarnym Brodzie. Ba, zawalić łatwo, ale naprawić... I kiedy saperzy to zrobią, może im nie starczyć nawet całego dnia!

Kapitan położył mapnik na kolanach.

— Poświęć mi latarką — powiedział do żołnierza. — Poszukam na mapie innej drogi...

— Innej drogi nie ma — oświadczył żołnierz, włączając na chwilę latarkę, co prawda nie po to, żeby poświecić kapitanowi, lecz by mu się przyrzec — dziwak, dokąd mu tak spieszo? — Innej drogi nie ma... Można by przez Woronie, ale to będzie półtoraście kilometrów z hakiem...

Berestowiec zaklął z cicha; właśnie jego musiała spotkać taka przykrość.

— Gdzie tu można przenocować? — zapytał ochłonawszy nieco.

— Chyba w wozie — odparł żołnierz. — W chatkach dokoła ścisk.

Berestowiec aż gwizdnął, więc nie tylko musi się spóźnić do dowództwa, lecz na dobitek marznąć całą noc w szoferce!

— A jest tutaj punkt żywnościowy? — zapytał wychodząc z wozu. — Przydałby się teraz kubek herbaty...

Zdrętwiałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa, kapitan musiał oprzeć się o ścianę wozu, omal nie upadł. Aby rozprostować kości, wykonał kilka przysiadów — zatrzeszczało w stawach, odzyskał władzę w nogach.

— Punkt jest obok, gdzie to kiepsko zamaskowane okienko. Sierżant chyba jeszcze nie śpi, a co do herbaty...

Żołnierz mówił głośno, jego dziarski głos nie tylko z całą szczerością nie obiecywał herbaty, ale niedwuznacznie wyrażał wątpliwość, czy sierżant zechce zająć się o tak później porze przejeżdżnym oficerem.

Kapitan Berestowiec doskonale zrozumiał, co brzmiało w głosie żołnierza, lecz mimo to, zataczając się lekko na zdrętwiałych nogach, ruszył w stronę cienkiej smugi światła, która jak gdyby przecinała czarną ścianę przysadzistego budynku przy końcu ulicy.

Sierżant, usadowiony na worku z cukrem, właśnie zzuwał buty.

— Karta zaopatrzenia jest? — zapytał przyglądając się pilnie szerokiej cholewie swego buta i stawiając go ostrożnie niby kryształową wazę obok worka. — Co prawda i na wojnie trzeba kiedyś pospać, ale mogę dać śledzika, koncentratu gryczanego, a co się tyczy innych rzeczy...

Stęknął, ściągając drugi but, obejrzał go ze wszystkich stron i dopiero po tym postawił z drugiej strony worka.

Duża odrutowana latarnia stojąca na skrzyni dawała słabe światło, dokoła sierżanta kołysały się cienie, jego twarz na przemian wypływała z ciemności lub ginęła w półmroku pachnącym śledziami, suchą kiełbasą, zjełczalym olejem roślinnym i pleśnią, mieszaniną korzennych woni sklepu kolonialnego.

Sierżant jeszcze raz rzucił okiem na swoje bez-

cenne buciory, jakby chcąc się upewnić, że są na właściwym miejscu, i spoglądając na kapitana powiedział:

— Jeśli koniecznie musicie napić się herbaty, towarzyszu kapitanie, moglibyście dostać w klasztorze...

— W jakim klasztorze? — zdziwił się Berestowiec.

— W tutejszym, czarnobrodzkim — roześmiał się sierżant. — Nie wierzycie mi. No to uwierzcie... Wielu naszych pijało tam herbatkę.. Hę?

Sierżant zlął z worka i zbliżył się do zaskoczonego kapitana. W długich wełnianych skarpetach stąpał miękko jak kot. Skarpetki były tak czyste i białe, że zdawało się, iż sierżant zanurzył nogi po kolana w śmietanie.

„On ma wszystko, herbatę i coś oprócz herbaty — pomyślał Berestowiec zdziwiony, że nie odczuwa wrogości do spasionego kota w białych skarpetach z punktu żywnościowego. — Z całą pewnością.”

Sierżant popatrzył na kapitana z ironicznym współczuciem i podniósłszy nagle kosmate brwi rzekł zdziwionym tonem:

— Skąd podczas wojny mają w klasztorze herbatę? Gdyby to były jakieś resztki, schowaliby dla siebie! Ale to chyba nie są resztki, skoro nikomu nie odmawiają. Hę?

Ochota na kubek gorącej herbaty była tak silna, że kapitan wymamrotał:

— A czy nie jest za późno?

— Skądże znowu, doskonała pora — sierżant szepnęła tajemniczo na ucho Berestowcowi. — Znam ich porządki... Jak nic odgrzeją!

Bezszelestnie podbiegł do drzwi, jednym pchnięciem otworzył je na oścież i stanął w progu.

— Widzicie tę furtkę w murze? — Jest otwarta. Pójdziecie wzdłuż muru, potem na pierwsze piętro...

Berestowiec skinął głową i ruszył drogą. Teraz widział wyraźnie białą ścianę klasztoru, czarne drzewa nad nią i niską furtkę pod drzewami — wszystko czego nie dostrzegł w drodze do punktu żywnościowego.

Pod butami dudniła ścieżka moszczona cegłą. Nad ścieżką górowały czarne drzewa, dotykając rozłożystymi koronami białej ściany długiego dwupiętrowego budynku.

Berestowiec ujrzał dwuskrzydłowe, otwarte drzwi, zatrzymał się.

Za czarnym otworem drzwi można było domyślić się klatki schodowej. Cofnąć się teraz byłoby śmieszne, ostatecznie obudzi jakiegoś omszałego mnicha, może naprawdę dadzą herbaty, sierżant nie skłamałby chyba.

Wytarte kamienne płyty szerokich schodów sięgających od ściany do ściany dudniły głucho pod butami, odgłosy kroków były przytłumione, jak gdyby gęsta ciemność wchłaniała wszystkie dźwięki.

W górze zamigotało szare światło ledwie tłać się w ciemności. Berestowiec wszedł po jeszcze kilku stopniach i znalazł się w długim korytarzu. W końcu korytarza ćmił kaganek przymocowany do ściany.

Kapitan Berestowiec nie miał pojęcia i nawet nie mógł sobie wyobrazić, czym jest klasztor; nigdy nie był nawet w zwykłej cerkwi, widział je

tylko z zewnątrz, cerkwie stare i nowe, czynne lub przekształcone na kluby czy spichlerze — nie umiał sobie wyobrazić, co się znajduje we wnętrzu cerkwi: ikonostas? kadzielnica? carskie wrota?... Znał te słowa jedynie ze słyszenia albo z książek, których nie był wielkim amatorem. Nie kojarzyły się w jego wyobraźni z czymś konkretnym, mającym własny kształt i wymiary i odróżniającym się dzięki temu od zwykłych przedmiotów, które znał i umiał przedstawić sobie z zamkniętymi oczami.

Nieokreśloność świata, w którym się znalazł nieoczekiwanie, niemal wbrew własnej woli, niepokoiła kapitana Berestowca. W tej nieokreśloności odczuwał coś wrogiego, nakazującego czujność, podobnie jak w słowie „Bóg”, przed którym dwudziestosześcioletni kapitan wymigiwał się zazwyczaj trywialną ironią, przekształcającą się często gęsto w pytanie zadawane samemu sobie i dlatego niezbyt przyjemne.

Kapitan Berestowiec nie lubił pytań, na które nie umiał odpowiedzieć. Cechowało to może nie tylko jego: wielu ludzi uważa, że na wszystkie pytania musi się znaleźć odpowiedź; a kiedy pojawiało się pytanie, na które nie było odpowiedzi, nie warto sobie łamać nad nim głowy.

Ostatecznie w każdej odpowiedzi kryje się nowe pytanie. Przypomina to w pewnym stopniu skrzynkę, w której mieści się mniejsza skrzynka, w niej — jeszcze mniejsza, i tak bez końca, z tą tylko różnicą, że waga tych nowych pytań niekoniecznie musi być coraz mniejsza.

Czasami odpowiedź na niezbyt istotne pytanie rodzi problem, przed którym człowiek staje jak

przed murem nie do przebycia — ani go obejść, ani podkopać się, zostaje tylko śmiały szturm.

Bez takich pytań życie wydaje się lżejsze aż do pewnego czasu — ale przychodzi ów czas i człowiek zaczyna rozumieć, że lepiej paść z honorem szturmując twierdzą niewiadomego niż pozostać bez odpowiedzi, którą każdy musi znaleźć sam, nie uciekając się do cudzego rozumu i doświadczenia.

W korytarzu klasztornym nie było nic straszego ani tajemniczego. Nie różnił się wcale od nocnego korytarza w szkole artyleryjskiej, którą Berestowiec ukończył przed wojną, może było tam tylko trochę widniej, ale nie o wiele; ściany pomalowane na kolor butelkowy jak gdyby pochłaniały światło dwóch żarówek elektrycznych zwiśających spod sufitu; schody były wydeptane, po obu stronach korytarza widniały jednakowe czarne drzwi.

Berestowiec nie wiedział, do których powinien zapukać. Cisza ogłuszała go. Podszedł do końca korytarza, stanął pod kagankiem i przyglądał mu się długo. Blaszana rurka zaopatrzona w knot tkwiła w krążku z surowego kartofla, w buteleczce od lekarstwa lśnił tłusty olej.

Dlaczego posłuchał sierżanta? Jakiej herbaty mu się zachciało, na dobitek pośród nocy i na domiar wszystkiego w klasztorze?

Trzeba natychmiast się stąd wynosić. Jeśli znajdzie się gdzieś kąt na nocleg — to dobrze, jeśli nie — można przesiedzieć resztę nocy w samochodzie. Byłe tylko saperzy jak najprędzej naprawili mostek uszkodzony przez czołgistów, a w dowódz-

twie artylerii trzeba się będzie tłumaczyć, usprawiedliwiać... Jak się uda — masz człowieku szczęście, a jak nie — dalej niż na front nie poślą, zdaje się, że tak mawiają żołnierze, kiedy ich nie słucha ktoś obcy.

Może się to wydawać nieprawdopodobne, że kapitan Berestowiec tak się spieszył do dowództwa artylerii, mimo iż oczekiwały go niezbyt przyjemne rozmowy, a jednak nie było w tym nic nieprawdopodobnego — kapitanowi istotnie spieszno było do rozmów na przykry temat armaty utopionej w bagnie.

Miał ukryty motyw, dzięki któremu wezwanie do dowództwa nie wyglądało zbyt groźnie i pozwalało mu wspominać ironiczne żołnierskie porzekadło. Co prawda ukrywał przed sobą ów motyw i nie chciał się przyznać do jego istnienia, ponieważ przypuszczał, iż jest w nim coś beznadziejnego.

Prawdę powiedziawszy, nie był to nawet motyw, lecz życzenie, którego się wstydził, choć zarazem stanowiło dlań źródło radości. Ta radość wypełniła niespostrzeżenie jego całą istotę. Niekiedy dziwił się sobie, szczególnie w czas nocnej samotności, odseparowania od ludzi znajdujących się tuż obok, śpiących lub myślących o swoich sprawach, jak on myślał o tym, co było ważne dla niego, o czym nikt nie powinien był wiedzieć.

„Z czego ja się cieszę? — myślał, budząc się w nocy w obcej chacie i wiedząc, że na dworzé zamieć, mróz, że za chwilę będzie musiał wzuć buty i wyjść w ciemność na spotkanie nowych trudów wojennego życia i nowych niebezpieczeństw. Jakie mam podstawy do radości? Czy jestem aż ta-

kim durniem, że starczy mi tego, co sobie uroiłem, tego czego w rzeczywistości nie ma i nie będzie nigdy? Każdy normalny człowiek na moim miejscu pomartwiłby się trochę i zapomniałby o swojej chimery, a nie cieszyłby się z niej jak z Bóg wie jakiego skarbu! Nie ma nic i nie będzie nic innego prócz tej obcej chaty, koślawych ław, słomy na klepisku, znajomych żołnierskich twarzy, marszów i przenosin na nowe kwatery, ciężkich walk, kiedy człowiek ostrzeliwuje wroga i jest przezeń ostrzeliwany, kiedy zabija i lada chwila może być zabity lub okaleczony tak, że rodzona matka go nie pozna. Oto jest twoja rzeczywistość, a ta, którą sobie wymyśliłeś, ubrdałeś — nie jest i nie może być rzeczywistością. Wyrzuć ze łba swoje chimery, bądź zadowolony z tego, co ci daje życie... Czy widzisz, jak inni korzystają z każdej sposobności? Więc i ty korzystaj... Rozumiesz? Okazje pozostaną, ale ciebie już nie będzie, już z nich nie skorzystasz.”

Możliwe, że w końcu Berestowiec wyrzuciłby swoje „chimery” z głowy, zmusiłby się do zapomnienia o nich i cieszyłby się nie z owego nieosiągalnego szczęścia, które w nim żyło, lecz zadowolilby się tym, które można osiągnąć bez trudu, bez udziału serca, szczęściem, które samo pcha się do rąk, niczego nie przyrzeka i niczego nie wymaga. I być może jego utajona radość wygasłaby niespostrzeżenie, zetlałaby bez śladu, gdyby nie wypadek z utopionym działem i związane z tym wezwanie do dowództwa.

Kiedy Berestowiec otrzymał rozkaz wzywający go do dowództwa artylerii, stropił się w pierwszej chwili i nawet przestraszył. Nie w związku z dzia-



łem, co do tego od razu pomyślał, że dalej niż na front nie pošlą. Ogarnęło go całkiem inne uczucie i całkiem inny strach.

To, co wydawało mu się urojeniem i niemożliwością, stało się po nadejściu wezwania czymś realnym, możliwym.

Kapitan Berestowiec udawał tylko, że nie przywiązuje żadnej wagi do tego wezwania, że nie kwapi się nigdzie, w istocie rzeczy spieszył się do dowództwa artylerii.

A spieszno mu było dlatego, że widział we wszystkim, co się stało, nie zwykły zbieg okoliczności, lecz uzasadniony ciąg przyczyn i skutków: dywizjon musiał znaleźć się na moczarach nie oznaczonych na mapie; armata musiała zapaść się w grzęzawisku; musiało być tak, że na nic się nie zdały próby wydobycia jej — wszystko musiało się zdarzyć po to, żeby otrzymał wezwanie do dowództwa artylerii, wezwanie, o którym dawno i często myślał, które przepędzał z myśli uważając, iż nie ma prawa myśleć o tym, co jest nie do urzeczywistnienia.

Teraz okazało się, że mógł, że wolno mu było myśleć, że nie było w tym przypadku, skoro wydarzenia rozwinęły się w sposób taki, iż musiały nieuchronnie zaprowadzić go do dowództwa artylerii.

W dowództwie maszyna do pisania terkotała jak karabin maszynowy, szybko latały nad nią białe palce jak gdyby nie dotykając klawiszów i błyskała na wszystkie strony szybkostrzelnymi oczami ostrzyżona główka — po kiego diabła przyszło mu to na myśl, gdy otrzymał wezwanie? Czy mało

widował strzyżonych główek i szybkostrzelnych oczu?

Dwudziestosześcioletni kapitan Berestowiec celowo używał w myśli tych trywialnych zwrotów z frontowej gwary młodych oficerów, starających się za wszelką cenę uniknąć wszystkiego, co w najmniejszym stopniu mogłoby wyglądać na wzruszenie lub, uchowaj Boże, sentymentalizm.

Maszynistka z dowództwa artylerii od dawna utkwiała na dobre w jego myślach. Bywało, że śniła mu się, gdy znużony padał na słomę w jakiejś nie opalonej chacie po długim przemarszu dział z zaprzęgiem konnym. Widział ją tylko jeden raz, słyszał, że ma na imię Jula, ale i tego mu wystarczyło, by ukradkiem myśleć o niej i odpędzać te myśli — wielkie rzeczy, nie ma w niej nic szczególnego prócz imienia, które można powtarzać w duszy nieskończoną ilość razy, byle nikt nie usłyszał, bo natychmiast zaczęłyby się dwuznaczne aluzje, indagacje, tłuste żarty — wszystko, w czym nieraz sam brał udział, bowiem obawiał się, że rozmowy, wypytywania mogą zatracić o to, co starannie ukrywał nie tylko przed innymi, lecz również przed sobą.

Kapitan Berestowiec nie znał kobiet. Mgliście wspominał młodzieńcze zakochanie się w pewnym jasnowłosym dziewczęciu z kokardkami we włosach; było to w ósmej klasie, zdaje się, że dziewczyna nazywała się Kława, a może Sława, już nie pamięta; potem była szkoła artyleryjska, w której go tak musztrowano, że omal nie zapomniał własnego imienia.

Później znalazł się na wojnie. Tu wśród gruboskórnych rówieśników z odznakami podoficerski-

mi, a potem oficerskimi naramiennikami, nie wolno było okazywać swego niedoświadczenia, trzeba je było ukrywać pod maską prostactwa lub niekiedy brutalności, że niby wie się o wszystkim nie gorzej od nich.

Kapitan Berestowiec chyba też zgrubiałby wewnętrznie, gdyby nie dziewczyna z dowództwa artylerii. Nie groziło mu to od chwili, kiedy ją zobaczył. Nie pozwalała na to owa nieuzasadniona radość, która zapaliła się w nim nagle, choć musiał ją ukrywać, by nie zgasła, tak jak kryje się w dłoniach, by nie zgasła na wietrze, ostatnią zapalkę, jedyną nadzieję na zapalenie papierosa, na rozniecenie ogniska i przepędzenie napierających ze wszystkich stron ciemności.

„Dalej niż na front nie poślą” — szepnął wesoło i wyczuł w tym szepcie desperacką gotowość na wszystko, co może go oczekiwać.

Zatopione działo i kłopotliwe wyjaśnienia raptem utraciły jakąkolwiek wagę. Niechby tylko saperzy jak najprędzej odbudowali mostek — o dziewiątej zero-zero musi zgłosić się w dowództwie.

Płomyk nad blaszaną rurką osadzoną w kartoflu zachybotał. Na schodach, którymi Berestowiec szedł przed chwilą, zabrzmiał odgłos kroków. Kapitan obejrzał się.

W końcu korytarza powoli rozrastała się ciemna postać — najpierw ukazała się głowa, następnie ramiona, połowa postaci, potem cała postać. Nadchodziła. Już z ciemności wynurzył się czarny strój. Berestowiec dostrzegał niewyraźne plamy twarzy i rąk. Postać zbliżała się bezgłośnie.

Kapitan opamiętał się i umyślnie tupiąc buta-

mi ruszył ku schodom. Płomyk kaganka oświetlił go z tyłu, przed nim, na podłodze, posuwicie wydłużał się coraz większy cień.

— Dobry wieczór — rozległ się miły głos, którego dobitną wymowę równoważyła przeciągła śpiewność.

Berestowca ogarnęło coś podobnego do panicznego strachu — przeklęty sierżant powinien był mu powiedzieć, że to jest klasztor żeński!

Obszerna czarna szata sprawiała, iż wysoka kobieta wyglądała na krępą. Czarna chustka zapięta pod krągłym podbródkiem podkreślała wyraziście białosc twarzy. Białe dłonie podtrzymywały zręcznie ciężkie fałdy jedwabnej sukni.

Mniszka, nie słuchając przeprosin kapitana, powiedziała:

— To dobrze, że nie przychodzi pan w jakiejś sprawie. Jesteśmy zawsze rade przejezdnym gościom... Proszę.

Berestowiec nie ośmielił się wspomnieć o herbacie.

Mniszka płynnym ruchem wyminęła go, musnąwszy połą szynela jedwabną szatą. Berestowiec poczuł zapach nieznanych pachnideł i postanowił pożegnać się i natychmiast odejść. Lecz mniszka nie stając obejrzała się, jak gdyby wzywając go, więc poszedł za nią, przeklinając siebie i swoją łatwowierność, a przede wszystkim kociego sierżanta z punktu żywnościowego. Jak on chytrze naraił mu tę nocną przygodę.

Bóg mieszkał w cerkwi. Cerkiew była gmachem przeznaczonym na siedzibę Boga, którego

istnieniu Berestowiec zaprzeczał i dlatego uważał cerkiew za przytulisko wszelakiego mistycyzmu.

Ogromny gmach zbudowany dla czegoś, co nie istniało, choć istniało w świadomości ludzi mniej lub więcej śmiesznych w oczach kapitana, musiał swym niezwykłym powołaniem wzbudzać ostrożne zdziwienie, za którym kryło się również jedno z owych pytań, na jakie nie umiał odpowiedzieć i dlatego ich nie lubił.

Klasztor, w odróżnieniu od cerkwi, nie był mieszkaniem Boga, lecz ludzi. A choć poświęcili się całkowicie Bogu (mimo najszczerzych chęci kapitan Berestowiec nie mógł sobie wyobrazić, jak można poświęcić się czemuś nie istniejącemu), to jednak pozostawali ludźmi, pod wieloma względami podobnymi do niego, Berestowca, a jednocześnie pod pewnym względem niepodobnymi. Owo podobieństwo a zarazem niepodobieństwo sprawiało, że nie mógł zrozumieć ludzi poświęcających się Bogu, obawiał się ich trochę, jak gdyby oni prócz wspólnych cech, jakie i on posiadał, mieli jakiś inny, nie znany mu organ wykonujący tajemnicze funkcje.

Oczywiście kapitan Berestowiec nie chciał i nie mógł przyznać się nawet przed sobą, że podświadomie lęka się duchownych i mnichów — oznaczałoby to bowiem, że boi się zjawiska, którego nie może zrozumieć. Lecz ta niewiedza właśnie wzbudziła w nim coś na kształt lęku, kiedy tak nieoczekiwanie znalazł się w klasztorze, zmuszając do napiętej czujności, jakby spotkanie i rozmowa z mniszką groziły jakimś niebezpieczeństwem.

Mniszka prowadziła Berestowca za sobą. Nie słychać było jej kroków. Berestowcowi zdawało się ciągle, że obok niego kroczy cień. Uległby tej ułudzie, gdyby nie zapach i szelest jedwabiu. To było rzeczywiste, więc mniszka była również kimś rzeczywistym jak korytarz klasztorny i wszystko, co się stało i co się może stać tej nocy.

Mniszka otworzyła w końcu korytarza niskie drzwi, których Berestowiec przedtem nie dostrzegł. Za drzwiami ciągnął się oświetlony kagankiem nowy korytarz, węższy i krótszy od poprzedniego.

Drewniane schody przyprowadziły mniszkę i kapitana pod niskie sklepienie, przed drzwiami obite wystrzępionym wołokiem.

Ciężki mrok korytarzy i milczenie mniszki przynębiały Berestowca. Pomyślał, że za drzwiami obitym wołokiem oczekuje go może jeszcze bardziej gnębiąca ciemność i milczenie. Odechciało mu się dawno herbaty — pragnął tylko wyrwać się z posępnych, zimnych ścian dokądkolwiek — do samochodu, do swego kierowcy, w noc i chłód, na drogę...

„Lepiej było jechać na Kosarewkę, u saperów pewnie znalazłaby się herbata, a może nawet czarka wódki” — myślał w chwili, gdy mniszka ostrożnie zbliżała się do drzwi pod sklepieniem.

Drzwi otworzyły się, smuga światła wpadła na schody, Berestowiec odczuł powiew ciepła, zobaczył zwyczajny pokój i przestąpił próg pod wrażeniem, że przeszedł przez długi czarny bród i wreszcie wydostał się na brzeg.

W ciągu nocy nieraz powracało doń wrażenie przebywania brodu. Zrodziło się na progu pokoju,

do którego przywiodła go mniszka, w pierwszej chwili Berestowiec nie przywiązywał większego znaczenia do tej myśli, lecz później ogarniała go z coraz większą siłą.

Młoda jeszcze, ostronosa, usiana piegami kobieta siedziała przy owalnym stole i notowała coś w wielkiej księdze. Na ich widok podniosła się z miejsca i złożyła ukłon mniszce, a następnie kapitanowi. Bynajmniej nie była zdumiona odwiedzinami nieznanego wojskowego o tej późnej porze.

Jej bystre oczy zmierzyły badawczo Berestowca. Zabłyśły w nich jakieś figlarne iskierki i zgasły.

— Zakrzątnijcie się, siostró Horpyno — powiedziała mniszka tonem łagodnego nakazu. Berestowiec zrozumiał, kto ma tutaj prawo rozkazywać.

Siostra Horpyna jeszcze raz ukłoniła się przeoryszy i wyszła z pokoju.

Berestowiec siedział na otomanie przy okrągłym stole i myślał zdziwiony o tym, że przy bliższym zetknięciu się z klasztorem nie ma w nim nic tajemniczego, że najbardziej przypomina staroświecko urządzonej bursę i to wszystko. Pokój, w którym się znalazł, nie wyróżniał się niczym szczególnym — ot, zwykły mieszczański pokój. Gdyby nie stara kanapa, na której siedział, i wąskie wysokie łóżko za cienkim parawanem, można by pomyśleć, że znajduje się w numerze prowincjonalnego hotelu; podobieństwo to zwiększała staroświecka umywalka z miedzianym kranem stojąca koło drzwi; na marmurowym blacie we wzorowym porządku leżały ułożone mydelniczka, szczoteczka do zębów i grzebyki, w owalnym wy-

kroju tkwił zamiast lustra kawałek dykty szerniałej od wilgoci.

Naftowa lampa pod abażurem ze spłowiałego, pokrytego kurzem fioletowego jedwabiu oświetlała stół i bielone ściany, pozostawiając wysoki sufit w półmroku. W kącie pokoju pobłyskiwały złotem i srebrem spatynowane ikony, w krwistym szkle lampki pełgał nikły ognek.

Przeorysza wyszła z za parawanu i zabrała ze stołu wielką księgę rachunkową, w której siostra Horpyna notowała coś w chwili, kiedy Berestowiec wszedł do pokoju. Na stole pozostał kałamarz szkolny i uczniowska obsadka.

Oblicze przeoryszy płynęło po pokoju w cieniu fioletowego abażuru.

Kapitanowi zwidziało się, że z za parawanu wyszła całkiem inna kobieta. Przeorysza zostawiła za zasłoną sutą czarną szatę z szerokimi rękawami i czarną chustkę. Szara bluzka z wysokim kołnierzykiem i długa wąska spódnica sprawiły, iż wyglądała na nieco wyższą. Odnosiło się wrażenie, że jest prowincjonalną nauczycielką nie pierwszej młodości; można było przypuszczać, że bladość jej twarzy nie jest skutkiem umartwień i modlitw, lecz wynikiem ciągłego pochylania się nad rojącymi się od błędów zeszytami szkolnymi — kałamarz i tanie uczniowskie pióro wspierały to przypuszczenie.

Gdyby Berestowiec nie pamiętał o białym murze, o niskiej furtce, o czarnych drzewach nad ścieżką z cegieł na klasztorным podwórzu, o kaganku oświetlającym posępny korytarz za progiem zacisznego pokoju, nazwanego przez jego właścicielkę celą, nie wpadłoby mu nawet do głó-

wy, że znalazł się w dożywotnim schronieniu kobiety, która dobrowolnie wyrzekła się na świecie wszystkiego, co istniało poza murami klasztoru.

Przeorysza, pływając wciąż w bżowym półmroku, wydożyła z niskiej komody stojącej między zaciemnionymi oknami biały obrus i rozpostarła go hałaśliwie — obrus był przekrochmalony.

— Proszę to zabrać — rzuciła krótko, wskazując ruchem białego podbródka kałamarz na stole.

Berestowiec wstał raptownie, stół zakołysał się. Kałamarz zsunął się po polerowanym blacie, pióro spadło na podłogę. Berestowiec, przyciskając kałamarz do piersi, wlażył pod stół. Udało mu się w końcu znaleźć przekłete pióro. Wstał zakłopotany i spostrzegł, że przeorysza nakrywa stół sztywnym obrusem, uśmiechając się kącikami ust. Pod jej oczami kładły się cienie opuszczonych rzęs, jej dłonie powoli unosiły się nad stołem, wygładzając lniany obrus.

— Dlaczego pan stoi? — cienie pod oczami mniszki poruszyły się. — Niech pan to postawi gdziekolwiek... może na oknie.

Mniszka, uporawszy się ostatecznie z obrusem, podeszła do Berestowca.

— Wiedziałam od razu — rzekła, dotykając paznokciem jego bluzy pod naszywaną kieszenią. — Nic strasznego, to atrament z czarnego bzu... Wypierze się.

Uśmiechnęła się, zabrała mu z rąk kałamarz i pióro i położyła na oknie.

Siostra Horpyna postawiła na stole małą brzuchatą karafkę, przysadzisty kieliszek z grubego szkła, talerz z razowym chlebem. Wyszła znów

z pokoju i wróciła po chwili, niosąc smażone jajka na białej patelni.

„Srebrna” — pomyślał Berestowiec.

Każde jajko spoczywało w oddzielnym wgłębieniu tombakowej patelni. Żółtko otoczone białkiem jak ciastko.

„W klasztorach umieją to robić” — pomyślał znów Berestowiec, przypomniawszy sobie jakąś książkę przeczytaną przed laty. Za trzecim nawrotem siostra Horpyna wniosła zielony emaliowany czajnik z czarną rączką. Berestowiec miał identyczny w swym gospodarstwie dywizjonowym. Właśnie ten zielony czajnik z czarną rączką i to, że siostra Horpyna postawiła go na poszczerbionym talerzu, dopiero to przekonało Berestowca, że w klasztorze mieszkają zwykle kobiety i że nie ma się czego obawiać — nie będzie żadnych strasznych tajemnic.

— Ja też napiję się herbaty, siostrzo Horpyno.

Przeorysza nie użyła imienia Agrypina, jakie siostra zapewne nosiła w zakonie. Lecz również imię Horpyna, ciężkie i niezdarne, nie nadawało się do ruchliwej ostronosej mniszki, podobnej raczej do ciekawskiej mieszczyki dzięki pociągłej lisiej twarzy usianej piegami, bluzce z wysoko wszytymi rękawami i fałdzistej czarnej spódnicy.

— Pijcie na zdrowie, matko przeoryszo — zaszczebiotała siostra Horpyna. — Zaraz podam szklaneczki...

Krótką wymiana niemal pozbawionych treści słów również podziałała uspokajająco na kapitana Berestowca — tak zazwyczaj rozmawia uprzejma gospodyni z gorliwą służącą, kiedy po dłuższym współzyciu rodzi się porozumienie, które je

zbliża, lecz nie zrównuje; obie pamiętają o odpowiednim dystansie i nie pozwolą sobie nigdy na skrócenie go choćby o jeden krok.

Samogon klasztorny zaprawiony był jakimiś wonnymi ziołami, razowiec pachniał kminkiem, a siostra Horpyna przyrządzała sadzone jaja znacznie lepiej niż małomówny ordynans kapitana Berestowca, Kalenik Timczenko.

Kapitan poczuł błogie ciepło w piersi, nabrał śmiałości, jego ładne oczy rozbłysły, uśmiechał się do swoich myśli, lecz nie ważył się jeszcze zabrać głosu.

Bądź co bądź klasztor był klasztorem, pokój, w którym siedział na przedpotopowej kanapie, nosił nazwę celi, a kobieta z białym krągłym podbródkiem i długimi rzęsami była, co tu gadać, mniszka.

Kapitan Berestowiec musiał być poruszony niezwykłością nocnej przygody, w którą wplątał się dzięki przewrotnemu sierżantowi z punktu żywnościowego. Wydawało mu się, że kobieta, z którą zasiadł przy stole, jest nie bardzo stara i powabna. Pełne tajemnej treści miano mniszki pogłębiało ten urok, a zarazem jak gdyby kładło między nią a kapitanem niewidzialną linię graniczną, napełniając go niejasnymi obawami, jakby miał przed sobą nie żywego człowieka, lecz bezcielesny wizerunek, jeden z tych, przed którymi wierni stawiają świece i zapalają lampki w cerkwiach.

Mimowolnie rzucił okiem na ikonę w kącie pokoju. Czerwony płomyk oświetlał ciemne oblicze, wielkie nieruchome oczy spoglądały wprost na niego; leżały pod nimi głębokie ciemne cienie, ko-



bieta z ikony podnosiła wąską dłoń o dziwnie złożonych palcach... Ostrzega go czy błogosławi?

— To jest bardzo stara ikona — przeorysza przechwyciła spojrzenie kapitana. — Znajduje się w naszym klasztorze od jego założenia. Bałam się zostawiać ją w czasie wojny w cerkwi, kazałam przenieść tutaj... I tak broniliśmy się wzajemnie przez cały czas.

Berestowiec dosłuchał się w słowach mniszki czegoś bardzo dalekiego od formuł religijnych, jakiejś innej treści, jak gdyby mniszka mówiła jednymi słowami, ale myślała całkiem innymi, posiadającymi prostsze, lecz głębsze znaczenie.

W oceanie świata istnieją prądy stałe o ustalonym kierunku. Żeglarz odnajduje je zawsze w tym samym miejscu, niezależnie od światła dnia i ciemności nocy, od wiatrów i pór roku. Istnieją również prądy okresowe zmieniające kierunek co pół roku, zależne od monsunów. Istnieją także prądy przypadkowe, doraźne, płynące w różnych kierunkach, trwające krótki czas, znikające i powstające na nowo. Istnieją prądy powierzchniowe i prądy głębinowe. Prądy powierzchniowe mieszają masy wód oceanicznych na powierzchni morza, choć część porywają na większą lub mniejszą głębię; prądy podwodne płyną w głębinach w całkiem innym, najczęściej odwrotnym kierunku. Są prądy zimne i prądy ciepłe, oznaczono je na mapach mórz jak rzeki na mapach lądów. Ruch prądów oceanicznych nie ustaje nigdy. W stanie bezruchu istnieją tylko na mapach.

Również ruch myśli ludzkiej nie ustaje nigdy, istnieją w nim własne prądy, stałe i przypadkowe, powierzchniowe i głębinowe — tylko nie ma map,

którymi mógłby się posługiwać badacz bezbrzeżnego oceanu, zwanego myślą człowieczą. Prąd ludzkiej myśli jest samowolny, nigdy nie wiadomo z góry, dokąd się skieruje i na jaki pusty brzeg wyrzuci drzazgi naszego istnienia, w jaki je wciągnie wir... Człowiek nie wybiera swoich myśli, żyją w nim i obok niego pośród stałych zmian i stałych konfliktów, wśród nieustannych eksplozji i gaśnieć, nieustannych przemieszczeń z głębin na powierzchnię i z powierzchni do głębin. Istnieją myśli towarzyszące człowiekowi przez całe długie lub krótkie życie, są również takie, które zjawiają się na chwilę, na jeden krótki posepny lub olśniewająco jasny moment. Nigdy nie można wiedzieć, która jest ważniejsza, która spowoduje płodne skutki, a która błysnie tylko i zgaśnie bez śladu.

Istnieją myśli genialne, zrodzone w sekundzie szczęśliwego olśnienia — zdawać by się mogło, bez jakiegokolwiek wysiłku i poszukiwań — tych myśli-błyskawic rozświetlających szlaki i odsłaniających przyszłość starca na wieki i tysiąclecia dla milionów istnień ludzkich. Są także myśli-krety, drażące wolno i zawzięcie — i bez nich nie może istnieć człowiek i ludzkość. Są myśli-osady i myśli-widoki przechodzące z jednej jakości w inną, realizujące się w obrazach lub gubiące się w abstrakcji. Istnieją wreszcie myśli-marzenia i myśli-wspomnienia skuwające człowiekowi ręce lub dodające mu skrzydeł...

Kapitan Berestowiec patrzył w milczeniu na mniszkę.

Myślami powierzchniowymi był tutaj, w klasztorze, za stołem z resztkami nie dojezionej jajecz-

nicy i samogonem w brzuchatej karafce, ale podwodnymi, głębinowymi znajdował się niezmiernie daleko od celi, od stołu z poczęstunkiem i mniszki, z której nie spuszczał spojrzenia.

Dywizjon zajmował pozycję na wysokim wzgórzu obok cerkwi. W ciemnościach nocy obsługa wytaczała działa na wzgórze, wyprzęgała konie i kopała stanowiska pod murami cerkwi i między grobami na cmentarzu cerkiewnym. Pobrzękiwały narzędzia saperskie, cicho rżały konie, żołnierze nawoływali się wzajemnie, wykonywali rozkazy dowódców baterii.

Obsługa tupiała w ciemnościach buciorami po wrośniętych w ziemię nagrobkach, pod płytami dudniło, jakby tam, w pustce, łomotał uwieczony piorun.

Berestowiec rozkwaterował się w przysadzistym murowanym grobowcu pozbawionym drzwi. Grobowiec przypominał piwnicę gospodarską, pachniał kurzem i pleśnią, lecz w głębi lochu nie było beczek z ogórkami i kapustą; stały tam ciężkie metalowe trumny ze szczątkami dawno wymarłej rodziny ziemiańskiej.

Łącznościowcy założyli w grobowcu telefon, zasłonili wejście płachtą namiotową, na wielkiej trumnie z kutymi zardzewiałymi rączkami postawili jak na kufrze zdobyczny kaganek parafinowy.

Dowódcy baterii, wchodząc do grobowca, odrzucali poję płachty i nie okazywali zdziwienia — telefon w grobowcu, trumna z kutymi rączkami wzbudzały śmiech. Berestowiec śmiał się wraz z nimi, tymczasem mijała noc, za ogrodzeniem wi-

dać już było wieś za rzeczką, ludzie przychodzili dawniej stamtąd do cerkwi na wzgórzu, widać było park ciągnący się za wsią, a w nim długi dwór ziemiański z kolumienkami, w którym przed wojną mieściło się technikum rolnicze, a teraz siedzieli Niemcy.

Niebo za cerkwią pobladło i odpływało wzwyż, wysokie wąskie okna z małymi szybkami zimno i obco patrzyły na zachód, zardzewiałe krzyże na kopułach odcinały się czernią na tle przedświt. Siwe chmury zapłonęły nagle w słońcu wyłaniającym się spoza horyzontu. W tej samej chwili przebudziła się wojna jakby na sygnał promieni słonecznych odbitych przez chmury.

Korygujący ogień usadowił się na wysokiej dzwonnicy cienkiej jak strzała.

Kapitan Berestowiec z góry znał dobre i złe strony pozycji zajętej przez jego dywizjon. Mógł ostrzeliwać Niemców ze wzgórza, można było korygować ogień z dzwonnicy, lecz jednocześnie dywizjon był widoczny jak na dłoni i choć Berestowiec pierwszy otworzył ogień, nie udało mu się zgnieść baterii wroga, Niemcy zwalili na cerkiew całą siłę swoich dział i ciężkich moździerzy.

Młodszy lejtnant Tiagno, usadowiony na dzwonnicy, przybył do dywizjonu niedawno. Przypadł do gustu ostrzelanym artylerzystom. Spodobała się wszystkim jego młodzieńcza bezpośredniość i szczerść, duże oczy patrzące ciekawie na zniszczone wsie i zdeptane pola, na kolegów z dywizjonu, na rozbite niemieckie okopy, działa i czołgi. W jego błękitnych oczach nie widać było nawet śladu strachu, jaki odczuwa prawie każdy

człowiek, kiedy po raz pierwszy znajdzie się pod ogniem.

Od razu pierwszego dnia młodszy lejtnant Tiagno pokazał wszystkim małą fotografię uśmiechniętej dziewczyny-podlotka o dużych, zapewne błękitnych oczach.

— To moja siostrzyczka Oleńka — powiedział Tiagno — kocham ją bardzo...

Wywołało to niezbyt złośliwe kpiny, tylko jeden całkiem już gruboskórny lejtnant pozwolił sobie na jakiś wulgarny żart. Berestowiec fuknął na niego, żartowniś urwał i zaciął się, a Tiagno, nadawszy usta nieomal jak dziecko, włożył fotografię do legitymacji oficerskiej.

Od pierwszego dnia nazywano młodszego lejtnanta Tiagno za jego plecami „Moja siostrzyczka Oleńka”, co świadczyło jedynie o powszechnej sympatii.

Kapitan Berestowiec słyszał przez telefon napięty i dziarski głos młodszego lejtnanta i odpowiadał mu takim samym głosem, jak zwykle podczas bitwy. Pociski niemieckie wybuchały za ogrodzeniem cerkwi, obok grobowca, bezpośrednie trafienie zniszczyło jedno działo, rannych artylerzystów wniesiono do cerkwi, na żołnierzy posypało się szkło z rozbitych okien, lecz głos korygującego nie milknął, a kapitan Berestowiec odpowiadał mu, uśmiechał się i myślał: „Zuch moja siostrzyczka Oleńka.”

Kapitan zdawał sobie sprawę, że młodszemu lejtnantowi nie jest zbyt wesoło na dzwonnicy ostrzeliwanej systematycznie przez artylerię niemiecką. Chciał powiedzieć Tiagnie jakieś proste słowo budzące otuchę, ale szukał tego słowa na

próżno. Nie miał zresztą czasu: musiał przekazywać rozkazy dowódcom baterii, musiał opuszczać grobowiec, by osobiście kontrolować wszystko, co się dzieje dokoła, utrzymywać łączność z piechotą domagającą się wzmożenia ognia. Ale jak to zrobić? Dział było coraz mniej, a zabitych i rannych coraz więcej...

Ogień artylerii niemieckiej potężniał z każdą chwilą. Pocisk za pociskiem trafiał w dzwonnice. Ogromne dzwony jęczały ciężko, mniejsze dzwony beładnie i przenikliwie, można było ogłuchnąć od huku eksplozji w grobowcu — kwaterze Berestowca.

— Tiagno, słyszysz mnie? — zawołał kapitan pochylając się nad skrzynką telefonu polowego.

— Słyszę, towarzyszu kapitanie — rozległ się ochryply i zdumiony głos młodszego lejtnanta. Jakby tam, na dzwonnicy, pojał coś, czego dawniej nie mógł zrozumieć, czego nie domyślał się nawet.

— Jak tam? Co? — krzyknął Berestowiec do słuchawki. Ogarnęło go współczucie dla młodego oficera.

— Nic nowego, tak jak przedtem — odpowiedział zdziwiony głos Tiagny i dodał niepewnie: — jakoś żyć można...

Zagrzmiał silny wybuch. Berestowcowi zdawało się, że grobowiec podniósł się w górę, zawisł w powietrzu i ciężko osiadł w dawnym miejscu.

— Tiagno! Tiagno! — krzyknął Berestowiec do słuchawki.

Nie było odpowiedzi.

Kapitan wylazł z grobowca i osłaniając głowę rękami pobiegł do dzwonnicy.

Dzwonnica trzęsa się, jakby ktoś tłukł w nią młotem. Berestowiec wchodził na górę w gęstej zawieszynie dymu i pyłu wapiennego, po odłamkach ram okiennych, ślizgając się na okruchach szkła, miażdżąc butami błękitnawobiałe kawałki tynku.

Im wyżej się znajdował, tym silniej chwiała się dzwonnica pod uderzeniami pocisków.

„Moja siostrzyczka Oleńka” był martwy.

Ciężki dzwon, który urwał się z potrzaskanej belki, przeciął młodszego lejtnanta Tiagno ostrą jak nóż krawędzią, nad którą widniał długi napis ułożony z kunsztownie splecionych, wysokich i cienkich liter alfabetu cerkiewnosłowiańskiego.

„...na intencję wybawienia od najazdu dwunastu narodów” — ogarnął kapitan Berestowiec końcowe słowa napisu.

Kapitan położył się obok dzwonu, wyjął słuchawkę z rąk martwego młodszego lejtnanta. Pociski bezustannie były w dzwonnice, rozkołysane dzwony huczały nad głową kapitana, nie słychać było tylko głosu wielkiego dzwonu, pod którym zginął Tiagno.

Berestowiec przytulił się do dzwonu i korygował ogień, aż zamilkły działa za rzeczką. Lecz nie było w tym zasługi jego dywizjonu — to przyleciały szturmowce i zrównały baterie niemieckie z ziemią, piechota zalegająca na łąkach poszła do ataku i przeprawiwszy się w dwóch miejscach przez rzeczkę, zaczęła oskrzydlać wieś.

Berestowiec zeszedł z dzwonnicy niemal na oślep — dym nie rzedniał, zmieszany z pyłem wapiennym kłębił się w ciasnych przejściach. Kapitan nie zajrzał do cerkwi. Dywizjon otrzymał roz-

kaz przeprowienia się za rzekę i ścigania wroga w bojowych ugrupowaniach piechoty.

— Proszę mi powiedzieć — odezwał się kapitan Berestowiec i przerwał. Nie wiedział, jak ma się zwracać do mniszki. — Proszę mi powiedzieć...

Mniszka rzuciła okiem na kapitana, spostrzegła jego zakłopotanie, uśmiechnęła się niedostrzegalnie kącikami ust i podpowiedziała:

— ...matko Iraido.

Mniszka spostrzegła w tym momencie okrucieństwo na białym obrusie i, by kapitan nie zorientował się, że zauważyła jego zakłopotanie i przywiązuje jakieś znaczenie do swej odpowiedzi, zaczęła jak gdyby nigdy nic kręcić jednym palcem gałkę.

Kapitan Berestowiec istotnie w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na to, że mniszka kazała nazywać się matką. Był już po dwóch kieliszkach mocnego samogonu i zjadł smakowitą jajecznicę klasztorną. Oczywiście nie mógł się upić dwoma kieliszkami, po prostu poczuł cudowne ciepło rozplywające się po całym ciele. Natychmiast znikło skrepowanie, które powstało wtedy, gdy nie wiedział, jak ma się zwracać do mniszki, pojawiła się śmiałość i pewność siebie, jakiej nigdy nie odczuwał podczas rozmów z kobietami.

Coraz bardziej pewny siebie ogarnął mniszkę spojrzeniem: jej schylona głowa, ciemne cienie długich rzęs na bladym obliczu, biała wypielęgnowana dłoń kręcąca gałkę z chleba na obrusie wydały mu się bardzo sympatyczne; łagodna linia ramion, w których wyczuwało się jakąś kuszącą uległość, podszeptnęła kapitanowi jedną z owych

zuchwałych myśli, jakich się później wstydział — lecz w tym momencie nie wstydział się jeszcze, tylko dziwił się swojej śmiałości i niedorzeczności swego pierwszego pytania.

— Proszę mi powiedzieć, matko Iraido, jak też wy tutaj żyjecie?

Mniszka podniosła głowę, jej palec zastygł na nie ukreconej gałce z chleba. Nie miała zamiaru odpowiedzieć na pytanie kapitana, zresztą nie czekał już na odpowiedź.

Berestowiec przeląkł się, nazwawszy mniszkę matką. Nie, nie przyszła mu do głowy myśl, iż nonsensem jest nazywanie w ten sposób kobiety, która z własnej woli wyrzekła się macierzyństwa, nie pomyślał również o tym, że przestępstwem byłoby nazywać w ten sposób kobietę, która obudziła w nim ową zuchwałą myśl, jakiej się teraz wstydzi.

Patrzył na mniszkę, ze zdumieniem spostrzegł w jej oczach płomyk dumy i zrozumiał, że dał się pokonać, że ta duma wyraża jej zwycięstwo nad nim, całkowite i bezwarunkowe. Rozbroił się sam niebacznie powiedzianym słowem, które się jej nie należało i nie mogło należeć.

Kapitan Berestowiec rozgniewał się na siebie i poczerwieniał jak młody chłopiec. Mniszka podniosła głowę jeszcze wyżej, nie kryjąc przed nim radości.

Patrzyła mu prosto w oczy, w skrytości ducha pragnęła uzyskać od niego niedwuznaczne, szczerze przyznanie się do porażki. Jeśli nie wytrzyma jej spojrzenia i spuści głowę, będzie to oznaczało, że się przyznał. Pragnęła tego wyznania, choć nie było potrzebne, pragnęła wbrew własnej woli,

poddając się niepojętej sile przyrzekającej, iż jego wyznanie sprawi jej satysfakcję, jakiej nie zaznała od tak dawna, że zapomniała, jaki ma smak.

Berestowiec wytrzymał spojrzenie mniszki, nie schylił głowy. Tylko oczy mu się zwięzły, jak gdyby pragnąc wytrwać w tym milczącym pojedynku włożył na głowę przezroczystą przyłbicę nie pozwalającą mniszce dotrzeć przez oczy w głąb jego serca.

Matce Iraidzie wydawało się tylko, że czyta w jego myślach, myliła się — prąd myśli kapitana spłynął z powierzchni w niedosiężną dla niej głębinę.

Rozłożyste korony drzew przesłaniały gruzy połtawskich ulic. Wczesna jesień rozrzuciła jasne złoto na ciężkich liściach. Tylko srebrnozielone świetki topól płonęły cicho pod niedosiężnym błękitem nieba.

Kapitan Berestowiec jechał wierzchem środkiem ulicy rozpoznając znane z dzieciństwa domy. Na chodnikach stały kobiety i wyrostki z tobołami i koszami w ręku. Jakaś dziewczynka tuliła do piersi cętkowanego szczeniaka popłakującego jak dziecko. Brodaty starzec z drewnianą nogą przeszedł przed kapitanem, stuknął protezą o chodnik i przeżegnał się.

Berestowiec skręcił w boczną uliczkę. Tupot kopyt ucichł — zaułek porósł trawą, zza parkanów zwisały gałęzie starych jabłoni obciążone owocem. Białe domki z oszklonymi galeryjkami tonęły w sadach.

Nie zsiadając z konia kapitan rzucił okiem za płot na podwórze. Ścieżka wydeptana wśród rde-

stu, omijając studnię z omszałą, zieloną cembrowiną, wiodła do domku. Drzwi były otwarte na oścież. Zamiast kolorowych szyb czerniała na werandzie popękana, wilgotna dykta, w trawie przed domkiem błyszczwały odłamki potłuczonych szyb.

— Mamo! — zawołał kapitan.

Z sąsiedniego podwórza wybiegła chuda dziewczynka w czerwonych spodenkach i białej koszulce sportowej, przylgnęła twarzą do płotu i rzekła:

— One poszły do muzeum... Niemcy spalili muzeum, więc one tam poszły.

Z zakratowanych okien piwnicy muzeum buchały kłęby dymu. Pod ścianą, na stosie potłuczonych cegieł, leżało kilka trupów. W nieruchomym powietrzu unosiła się ciężka woń spalonego mięsa.

Berestowiec od razu spostrzegł matkę. Stała z odkrytą siwą głową, bosa, przyciskając do oczu rąbek starego fartucha. Przed ogrodzeniem skwe-ru stało kilka kobiet i mężczyzn. Z muzeum wyniesiono jeszcze jedno spalone ciało i ułożono na czerwonym piasku.

— Mamo — zawołał cicho Berestowiec i zatrzymał konia.

Matka odsłoniła oczy, nie zdziwiła się wcale i podeszła do niego, stąpając bosymi nogami po bruku jak po rozpalonym żelazie. Berestowiec chciał zsiąść z konia. Matka położyła mu rękę na kolanie, nachylił się i pocałował ją w siwe włosy. Koń przestępował wolno z nogi na nogę, zginał głowę usiłując skubnąć zżółkłą trawę przebijającą się między kamieniami bruku lub podnosił ją i otrząsał się cały przed natrętnymi muchami.

Rozległ się tętent kopyt na bruku, przed mu-



zeum przygalopował konno ordynans kapitana Kalenik Timczenko.

— Pułkownik każe wam zgłosić się natychmiast — zawołał osadzając konia. — Z trudem was znalazłem... Dobrze, że napotkałem dziewczynkę z sąsiedztwa.

Timczenko zamilkł nagle. Spozrzegł zwęglone zwłoki pod ścianą muzeum.

— Żegnaj, mamó — Berestowiec nachylił się do matki.

Podniosła chude ręce, objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie.

— Żegnaj, mamó — powiedział jeszcze raz, biorąc w uścisk jej chude ramiona. — Jeżeli wyżyję, przyjadę na dłużej...

Na zakręcie obejrzał się — matka stała na środku jezdni, z czubkiem fartucha przy ustach.

Tylko jej należało się słowo, które wypowiedział w pośpiechu, zwracając się do mniszki.

Mniszka nie pozwoliła sobie zbyt długo napaść się zwycięstwem nad młodym kapitanem artylerii.

Zmiłuj się nade mną, Boże, w miłosierdziu swoim; w ogromie swej litości zgładź nieprawość moją.

Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego.

Uznaję bowiem nieprawość swoją,

a grzech mój jest zawsze przede mną.*

Zbielałe wargi mniszki poruszały się szybko. Berestowiec z obawą i niemal dzieciinną ciekawo-

*Ps. L, 3, 4, 5. Wszystkie cytaty z Pisma świętego wg. wydania „Palletinum”, Poznań, 1965. (Przyp. red.)

ścią patrzył na nią, lecz nie mógł uchwycić ani jednego słowa.

Mniszka opuszczała głowę coraz niżej, jak gdyby ktoś ją poskramiał, a kiedy znów podniosła oczy na kapitana, malował się już na jej obliczu spokój.

Kapitan Berestowiec pomylił się. Matka Iraida nie odmawiała modlitwy, po prostu myślała słowami ksiąg cerkiewnych, jedynych, jakie czytała w ciągu długich lat. W podobny sposób myślimy niekiedy słowami zaczerpniętymi z przeczytanych książek.

Może zostały w jej pamięci z lat szkolnych urywki pięknych wierszy, może coś z czytanych niegdyś powieści, lecz to, co mogła zapamiętać, nie odpowiadało obecnemu stanowi jej duszy, więc szukała wyrazu dla swoich myśli i uczuć u wielkich religijnych poetów przeszłości, podobnie jak kapitan Berestowiec odnajdywał ten wyraz w wierszach poetów współczesnych.

Oznaczało to jedynie, iż mniszka i kapitan, ludzie żyjący w tym samym czasie, żyli zarazem w innym czasie i że warstwy czasu przemieściły się tak, jak przesuwają się warstwy ziemi w okresie kataklizmów geologicznych, a to co powinno pozostawać w ukryciu w głębi przeszłości, wy dobyło się na powierzchnię, w teraźniejszość i nie chce z niej zniknąć aż do nowej katastrofy, która w nowy sposób rozmieści góry i doliny ziemskie — ludzkie myśli i uczucia.

— Jak my tutaj żyjemy? — powtórzyła cicho pytanie Berestowca matka Iraida, ponownie krę-

ciągając różowym palcem gałkę z chleba na białym obrusie. — Podczas wojny czy w ogóle?

— Teraz i w ogóle — zirytował się i rozgniewał na swoją irytację kapitan. — Przecież to wasze życie...

— ...nie jest życiem? — uzupełniła mniszka jego słowa, pochyliła głowę i zakryła małą ręką ukreconą gałkę. — To pan chciał powiedzieć?

— Przepraszam bardzo, ale właśnie to — odparł pospiesznie Berestowiec i by ukryć zakłopotanie, sięgnął po karafkę. — Można jeszcze jeden kieliszek?

— Oczywiście, kapitanie, można — mniszka podniosła na niego oczy. — Właściwie jak się pan nazywa?

Wpatrywała się w niego nieruchomym spojrzeniem jak kobieta z ikony w kącie pokoju, lecz jej oczy nie były czarne jak oczy z obrazu, kryjące w sobie głębię południowej nocy z jej porywami i zmaganiem — jasnoszare oczy mniszki były przejrzyste jak źródłana woda, kto wie, co się mogło skrywać za tą przejrzystością.

— Jurij... Jurij Siergiejewicz — odpowiedział kapitan Berestowiec stropiony spojrzeniem matki Iraidy.

W jej oczach zabłysło coś na kształt nagłego lęku i zgasło natychmiast. Skinęła głową i jakby rozmyślając na głos powiedziała:

— A więc jak my tu żyjemy?

Rozumiała doskonale pytanie kapitana, zdawało się jednak, że szuka na nie najprostszą odpowiedź — odpowiedź, która mogłaby zarówno dać jemu wyobrażenie o jej życiu, a zarazem podsu-

mować na jej użytek doświadczenie wynikające z tego życia.

Pod palcami mniszki znów znalazła się gałka z chleba, dobrze utoczona, gładka, można ją było teraz wziąć między dwa splecione palce, jak w latach dzieciństwa, i poczuć, że ma się pod palcami dwie gałki.

— Każdy ma własne życie — rzekła po prostu matka Iraida — pan swoje, a my — nasze... Każdemu człowiekowi trudno jest zrozumieć życie innego człowieka. Ludzie zresztą bardzo rzadko rozumieją się nawzajem... A cóż dopiero człowiek niewierzący, jak on ma zrozumieć mniszkę, nieprawda?

W słowach matki Iraidy nie było nic szczególnego, mniszego, może zawsze tak mówiła, może posiadała umiejętność rozmawiania z każdym człowiekiem jego językiem.

„Mnisi są zapewne dobrymi dyplomatami — pomyślał kapitan Berestowiec i poczuł przyływ wrogości do przeoryszy — nie ma więc w tym nic dziwnego, że opanowała tę sztukę.”

— A wojnę znam od dawna — rozległ się cichy i smutny głos mniszki, pełen śpiewności, która tak zdumiała go na korytarzu... — Znam wojnę... i nigdy się jej nie bałam... Nienawidziłam, lecz nie bałam się... Niech pan wypije jeszcze kieliszek, Juriju... Siergiejewiczu...

Spojrzała na niego znów szarymi oczami, zimnymi jak zastygłe szkło, kąciki jej energicznie wykrojonych ust zadrżały, jakby chcąc się uśmiechnąć i nie mogąc sobie pozwolić na to.

A jednak uśmiechnęła się samymi tylko ustami,

uśmiech nie złagodził wyrazu jej oczu, zakołysała się w nich tylko jakaś tajemnicza głębia, rozwarła się na chwilę i zamknęła znów. W kącikach ust skupiły się zmarszczki cienkie jak pajęczyna, przez twarz przesunął się cień.

— Co wy możecie wiedzieć o wojnie — powiedział Berestowiec lekceważąco i wyciągnął rękę po karafkę. — Co możecie wiedzieć, siedząc tu, za swoją ścianą!

Mniszka mogłaby się obrazić, lecz tak się nie stało, pochyliła tylko głowę jeszcze niżej i rzekła jeszcze cichszym głosem:

— Pan zna tylko tę wojnę... A przecież to nie jest pierwsza wojna, zaś ja nie zawsze byłam mniszką.

Karafka, którą kapitan chciał już przechylić nad kieliszkiem, zawisła w powietrzu. Berestowiec rzucił baczne spojrzenie na matkę Iraidę — istotnie, przecież nie urodziła się w klasztorze!

Odstawił karafkę.

Mniszka milczała, a Jurijowi wydawało się, że studiuje rysy jego twarzy, bynajmniej się z tym nie kryjąc.

Co mogło w jego twarzy zainteresować tę nie starą jeszcze, ale już niemłodą kobietę, i na dobitkę mniszkę? Jego twarz nie odznaczała się niczym, zwyczajna, smagła, długa fizjonomia, popolity nos, mógłby być nieco dłuższy i nie tak bardzo płaski w nasadzie, oczy jak oczy i brwi jak brwi, chyba tylko cienkie czarne wąsiki, rzeczywiście ładne, ale nie może przecież przyznać się do tego, iż zapuścił je, by odwrócić uwagę od swego połtawskiego, perkatego nosa!

Postacią tyś piękniejszy ponad synów ludzkich,
wdzięk rozlał się na twoich wargach...

Przypasz, mocarzu, miecz swój do biodra...

Szczęśliwie wstąp na rydwan w obronie wiary
i sprawiedliwości...*

— Wojna otarła się również o moje życie — odezwała się mniszka po długim milczeniu. Jurij wyczuł w jej cichym głosie wzruszenie. — Kiedyś... Gdy nie byłam jeszcze taka stara, gdy byłam młodsza od pana... I nie tylko otarła się — zrujnowała moje życie doszczętnie, odbudowałam je później na nowo... Na ruinach.

Matka Iraida wstała raptownie jakby odepchnąwszy się od stołu, wyjrzała za drzwi i zawołała przytłumionym głosem:

— Siostró Horpyno, gdzie jesteście? Przyjdźcie tu do mnie, siostró Horpyno.

Po chwili wróciła całkiem spokojna do stołu, uśmiechnęła się do kapitana jakby przepraszając go za swe wzburzenie; pierwszy raz uśmiechnęła się nie tylko ustami — uśmiechnęły się również jej oczy, cała twarz, która stała się dzięki temu znacznie młodsza i sympatyczniejsza, tak ożywił ją chwilowy przypływ krwi.

W drzwiach stanęła bezszelestnie siostra Horpyna.

— Podgrzejdź wodę w czajniku, siostró Horpyno — rzekła matka Iraida. — Herbata dziś się przyda...

Siostra Horpyna zbliżyła się do stołu, dotknęła dłonią żabiej blachy czajnika i zachichotała ci-chutko:

* Ps. XLIV, 3, 4, 5

— Czajnik jest jeszcze gorący, matko przeoryszo.

— Podgrzejcie, nie sprzecajcie się, siostrzo Horpyno — powiedziała przeorysza nie patrząc na nią, jakby jej tu nie było. — Sprzeczać się to grzech...

Siostra Horpyna przestała nagle chichotać. Przeżegnała się szybko i pochyliła się przed przeoryszą w niskim pokłonie.

— Wybaczcie, matko przeoryszo, słudze niegodnej, bezbożnej...

— Bóg ci przebaczy — rzekła matka Iraida podnosząc rękę.

Siostra Horpyna cmoknęła głośno przeoryszę w rękę, chwyciła czajnik i spieszenie, drobnymi kroczkami opuściła celę.

Kapitan Berestowiec widział taką scenę pierwszy raz w życiu. Powiódł spojrzeniem za siostrą Horpyną i popatrzył na przeoryszę jak gdyby pragnąc odczytać na jej obliczu tajemnicę jej władzy.

Matka Iraida znowu kręciła palcami gałkę z chleba. Pod palcami były dwie gałki, jak w dzieciństwie, kiedy nie wolno jej było tego robić przy stole, by nie mącić uroczystego obrzędu obiadu z ojcem na czele, z pięknie ubraną uperfumowaną matką, z siostrami i guwernantką, z lokajem w białych nicianych rękawiczkach.

Podczas tych obiadów atmosfera była tak chłodna i napięta, że chciało się, by jak najprędzej nadszedł koniec, żeby można było pobiec do ogrodu, na wysypane piaskiem ścieżki, zagrać w wolanta lub serso i nie odczuwać na sobie uprzejmie obojętnego spojrzenia ojca, nie widzieć

wystraszonej urody matki! Teraz wspomina się to wszystko z bólem, jak raj utracony...

...Wygnawszy zaś człowieka, Bóg postawił przed ogrodem Eden cherubów i połyskujące ostrze miecza, aby strzec drogi do drzewa życia...*

To dziwne — wcale nie czuje nienawiści ni żadnego innego wrogiego uczucia do tego anioła w artyleryjskich naramiennikach, siedzącego w jej celi, na jej kanapie, przy jej stole, ani śladu wrogości, jakby to nie on bronił przed nią wejścia do raju, jakby nie w jego ręku znajdował się ognisty miecz? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? To straszne słowo można powtarzać tysiąc razy. Można rozszarpać serce, szukając odpowiedzi na to pytanie. On nie ponosi żadnej winy, nie stanął przed bramą z własnej woli, to Bóg go tam postawił i włożył w dłonie ognisty miecz — za jej grzechy. Ale czy tylko za własne grzechy wygnano ją z raju i zamknięto bramę? Tyle było grzechów i tyle zbrodni, tyle krwi i łez, że mogłyby zatopić nie tylko raj i przeciąć drogi wiodące nie tylko do jej szczęścia. Wszystko skończyło się dawno i nie wróci nigdy. Na co więc te wspomnienia o minionym? Nie trzeba zamykać oczu, by zobaczyć tę twarz na perkalowej powłoczce w pociągu sanitarnym, przed tyloma laty, w jej dawnym życiu, którego nie można odkupić postem ni modlitwą, ni skruchą.

Czym jest skrucha? Czy nie kryje się w niej chęć powtórzenia wszystkiego od nowa — urzeczywistnienia tego, co nie zostało urzeczywist-

* Księga rodzaju, III, 24

nione, odniesienia zwycięstwa tam, gdzie się poniosło klęskę, wypłynięcia w tym samym miejscu, w którym się poszło na dno?

Czy wiedziałyby, czym jest skrucha, gdyby nie ostateczna porażka, katastrofa, w której była tylko ziarenkiem piasku, a która przekonała ją, iż jej całe poprzednie życie było grzechem, jej grzechem — w równej mierze jak grzech owego życia, do jakiego przynależała?

Duszo moja, czemuś zgnębiona
i czemu miotasz się we mnie? *

A gdyby wróciło wszystko... Czy czas może popłynąć wstecz? Nie ma dróg wiodących do przeszłości. Idzie się z całym przeżyтым życiem, przeszłości nie można zapomnieć ani przekreślić, człowiek może iść tylko naprzód — a cokolwiek go tam czeka, idzie i ciągnie za sobą łańcuch wspomnień, ciężki bagaż przeszłości, który powiększa się nieustannie i wreszcie miażdży człowieka.

Gdyby nie doszło do katastrofy, nie odczułaby skruchy — nastąpiłaby tylko zmiana miejsc i może ona stałaby przed bramą rajy z ognistym mieczem w ręku...

Albo ten, co konał na łóżku w pociągu sanitarnym, gdy wszystkie drogi zostały odcięte i było tylko jedno wyjście — dla niego, nie dla niej... Lecz Bóg nie powołał jej do skorzystania z tego wyjścia.

Kapitan milcząco podniósł kieliszek, spoglądając przezeń na światło lampki. W szarym, męt-

* Ps. XLII, 6

nym płynie błysnęło czerwone oko. Kapitan wypił i od razu nalał następny kieliszek.

Kieliszek był mały, samogon pędzony na ziołach oparzył Berestowcowi przelyk. Zdawało mu się, że połknął czerwony płomyk pełgający tam, w kącie, pod wizerunkiem kobiety o znieruchomiałych czarnych oczach.

— Kiedy wybuchła pierwsza wojna, miałam szesnaście lat — powiedziała mniszka.

„Więc ile ma teraz, w czterdziestym czwartym? — zaczął obliczać Berestowiec. — Czterdzieści sześć, czterdziesty siódmy... Chwilami wygląda na starszą, chwilami na młodszą... Chyba to właściwość wszystkich kobiet.”

I nagle myśli kapitana Berestowca znalazły się w olbrzymiej odległości od kobiety, która takim szablonowym zdaniem zaczęła swoją opowieść. Dochodziły go jej słowa — wojna, ojciec, matka — ale nie próbował zgłębiać znaczenia, jakie nadawała im mniszka. Myślał tymi samymi słowami o swoim, tylko to swoje było mu w tej chwili bliskie i drogie, zaś kobieta i jej opowieść, wywołująca w nim własne myśli i wspomnienia, przestały już dla niego istnieć.

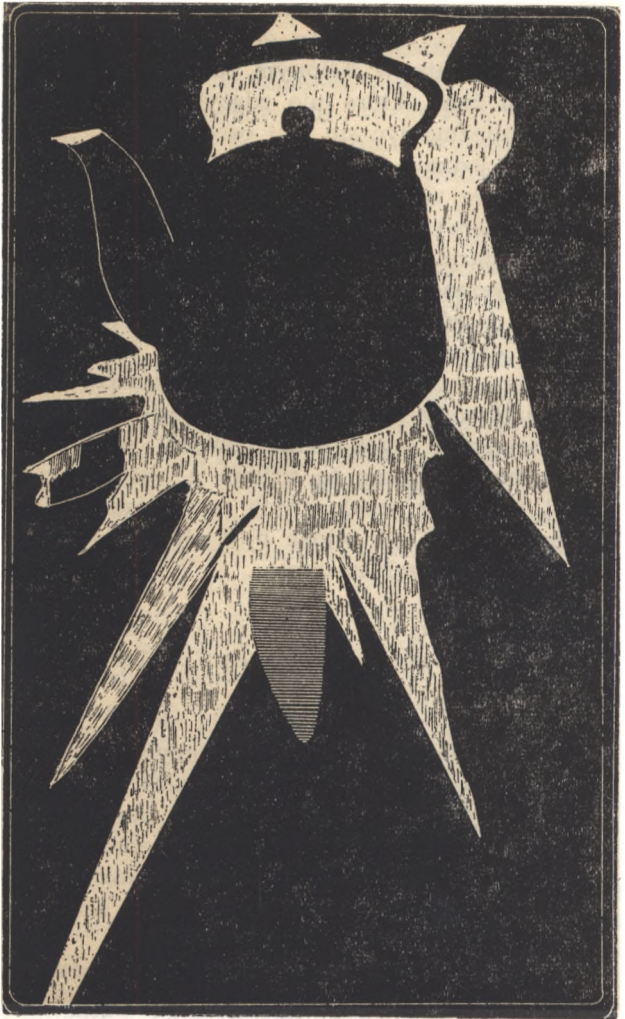
Nad staroświecką komódką wisiały wianuszkiem trzy stare fotografie bez ramek, na kartonach, poźółkłe nieco, raczej szare, jakby przysypane pyłem czasu.

Twarze na zdjęciach miały dzięki temu miękkie rysy i były niemal bezcieleśnie subtelne, jakby to nie były oblicza ludzkie, lecz zjawy, piękne zjawy, nie opuszczające domu nigdy, ani w mroku nocy, ani w jasnym świetle dnia.

Nie do wiary było, że ta czarnowłosa dziewczyna w białej sukni i welonie z białymi kwiatami, delikatna dziewczyna z fotografii, wyciąga pełne wiadra ze studni, rozczynia ciasto w dzieży, miesi je na chleb i wsuwa do pieca na białej łożnicy, pierze bieliznę w szafliku, wywiesza ją na mrozie i magluje ręczną maglownicą, która za każdym razem, przesuwając na blacie stołu wałek z połataną koszulą, skrzeczy grrr... Ta dziewczyna dawno już ma siwe włosy i wyblakłe oczy, a szczupła ręka, która na fotografii trzyma w delikatnych palcach pęk matowych kwiatów, dawno zgrubiała od pracy, stała się węzłem żył, kości i mięśni, żelaznym węzłem, w którego wnętrzu drzemie ciepło i czułość, to, co nie starzeje się nigdy.

Ta dziewczyna jest teraz w chacie sama; tego, który na fotografii stoi obok niej w czarnej marynarce i białej koszuli z wysokim sztywnym kołnierzem, dawno już nie ma na świecie. Jest tylko na ścianie w rozpostartym wachlarzu starych zdjęć, tylko tam, na fotografii istnieją jego oczy i podkrecone do góry wąsiki, tylko tam podpierają jego podbródek zagięte różki sztywnego gumowego kołnierzyka, a czarny, starannie zawiązany krawat znika za kamizelką.

On istnieje jeszcze z prawej i lewej strony zdjęcia ślubnego, na dwóch innych fotografiach. Na jednej — w chwacko zsuniętej czapce żołnierskiej z owalnym bączkiem, w naramiennikach, z czterema Krzyżami Św. Jerzego na bluzie... Co zmuszało go do tego, iż tak dzielnie wojował w obronie wiary, cara i ojczyzny? Przyrodzona odwaga? Chęć zdobycia odznaczeń? Pragnienie



jak najszybszego uporania się z obmierzłą żołnierską robotą i powrotu do kolejarskiego depò, do swojej chaty w zielonym zaułku, gdzie czeka na niego żona, która nie zdążyła jeszcze zostać matką ani zmęczyć się, ani osiwieć?

Wrócił jednak do tej chaty z kartą demobilizacyjną, bez zuchowatej czapki, bez naramienników na starej bluzie: jej puste rękawy zatknięte były za stary wytarty pas żołnierski.

Miał jednak swoje porachunki z Niemcami, z białą i żółto-błękitną zgrają oficerską*, bo w roku osiemnastym głośna wieść o Siergieju Bezrękim rozeszła się po całej guberni i nie ucichła również później, kiedy zdjęcie bolszewika rozstrzelanego przez denikinowców wywieszono w muzeum, właśnie to zdjęcie z pustymi rękawami, tylko w trzykrotnym powiększeniu i po retuszu, tak, iż nie widać było siwizny na skroniach i zmarszczek na czole...

— Mój ojciec był Niemcem, a ja nie lubiłam Niemców, bo nie kochałam ojca... Mama go też nie kochała...

Mniszka tak czule powiedziała słowo „mama”, że Jurijowi ścisnęło się serce, pomyślał, iż uczucie człowieka dla własnej przeszłości rodzi się z żalu, jeśli nie z odrazy do swego obecnego życia; że w upoetycznionym wspomnieniu o przeszłości człowiek szuka ostatniego ratunku, kiedy nie świeci mu już żadna gwiazda, a serca nie ogrzewa najniklejszy płomyk nadziei.

— Ojciec przeszedł dla kariery na prawosła-

* Barwy petlurowców, nacjonalistów ukraińskich. (Przyp. tłum.)

wie. Może dlatego nie wyrzekł słowa sprzeciwu, kiedy powiedziałam, że chcę iść na wojnę jako siostra miłosierdzia. To było również korzystne dla jego kariery, szczególnie w czasie wojny, kiedy wszyscy nienawidzili Niemców... U nas, w Wilnie, także. Mama dostała ataku hysterii, błagała mnie, żebym ukończyła gimnazjum. Żal mi jej było, zgodziłam się.

Ten kapitan z perkatym nosem i cienkimi wąsikami pewnie sądzi, że gdzie bogactwo — tam szczęście. Ale mama nie była szczęśliwa. Nie dało jej szczęścia ani bogactwo męża, ani jego wysokie stanowisko w administracji carskiej, ani wspaniałe stroje i brylanty, ani stała łoża w teatrze, ani wyjazdy w czarnym lakierowanym landzie do wód, nad morze... Nie było szczęścia w tym domu, wiedziała o tym jeszcze jako mała dziewczynka. To był chłodny dom, urządzone z urzędowym luksusem, sypialnia przypominała połączony sarkofag, w jadalni z rzeźbionymi czarnymi boazeriami poruszali się bezszelestnie milczący lokaje w białych nicianych rękawiczkach — i nic więcej.

— Kiedy okazało się, że Wilno będzie oddane Niemcom, wyjechaliśmy do Piotrogradu. Wówczas także istniało słowo ewakuacja, ale nie dla nas — jechaliśmy komfortowym pociągiem specjalnym, z nami jechało urządzenie naszego mieszkania, meble, dywany... W Piotrogradzie zajęliśmy ośmiopokojowy apartament, a w szpitalach nie starczało miejsca dla rannych. Nic już nie mogło mnie zatrzymać — musiałam iść na front, dzielić cierpienia tych, których krew przelewano bez litości i współczucia.

Mniszka umilkła nagle. Podniosła głowę i ogar-

nęła spojrzeniem pokój, jakby nie poznając go. Berestowcowi zdawało się, że blada twarz mniszki złączyła się z ciemnym obliczem kobiety z ikony w kącie pokoju, nie wiedział już, jakie ona ma oczy — za ich głębiną odsłaniało się dalekie, nieznanne i jeszcze przed chwilą obce mu życie.

Mógłby przysiąc, że gdyby ktoś powiedział mu rano, kiedy wybierał się do dowództwa artylerii, iż wzruszy go opowieść o życiu mniszki, roześmiałyby mu się w twarz. Dziesiątki tysięcy naszych dziewcząt są na wojnie i to nie tylko w batalionach sanitarnych, lecz na linii frontu, i nie robią z tego tragedii.

Jak obłok przeleci i zniknie
kto schodzi w Szeol, nie wraca,
by mieszkać we własnym domostwie
lub strony rodzinne zobaczyć.

Ja ust ujarzmić nie mogę,
mówić chcę w utrapieniu,
narzekać w boleści mej duszy.*

Dlaczego ten młody kapitan, ten Jurij... Jurij Siergiejewicz patrzy na mnie tak lekceważąco? Do twarzy mu z wąsikami, a naramienniki ze skrzyżowanymi armatkami upodobniają go... Po co on tu przyszedł?

Kiedy do wagonu w pociągu sanitarnym wniesiono Jurija Nikołajewicza, miał taką samą, niemal oliwkową twarz, zamknięte oczy, blade wypukłe powieki, cienki sznurek młodych wąsików

* Job., VII, 9, 10, 11

czerniał nad spierzchniętą z gorączki delikatną, na wpeł dziecięcą wargą.

W jego twarzy nie było bólu ani cierpienia, tylko podniesione brwi wyrażały zdziwienie, jak to się mogło stać, że leży na noszach jak w kołysce, przykryty szynelem do podbródka — sanitariusze nie idą w nogę, nosze uginają się i kołyszą do snu.

Tak podniósł brwi we śnie, jak gdyby chciał o coś zapytać, ale nie ma kogo, nikt nie może odpowiedzieć na nieme pytanie tych podniesionych brwi.

Pierś wznosi się i opada ciężko, w przestrzelenych płucach bulgocze, lecz on nie odczuwa bólu.

To kiepsko, gdy się nie czuje bólu. Życie — to ból. Jeśli bólu nie ma — życie znika.

— Nie od razu trafiłam do pociągu sanitarnego...

Kapitanowi zdawało się, że mniszka mówi coś bez związku z tym, co powiedziała wcześniej. Może jego własne myśli przeszkodziły w skupieniu uwagi i połączeniu w jedną całość chaotycznej opowieści. Chwilami Berestowiec miał wrażenie, że to wszystko — klasztor, mniszka, jej nieoczekiwana spowiedź — śniło mu się tylko. Wystarczy mały wysiłek, a sen rozwieje się, nie pozostawiając nawet śladu w świadomości, może tylko niejasne zdziwienie: jak i dlaczego mogło się to przyśnić?

— Nie od razu — powtórzyła matka Iraida, jakby podkreślając, że to bardzo ważne. — Z początku poszłam na kurs pielęgniarek, a jednocześnie uczyłam się w gimnazjum... Potem przesta-

łam się uczyć. W roku szesnastym skierowano mnie do pułku piechoty tkwiącego w okopach pod Rygą prawie od wybuchu wojny. Oficerowie jeździli do miasta, zostawiając w zastępstwie podoficerów. Ja też w białej chustce, z czerwonym krzyżem na piersi jeździłam z nimi, piłam szampana w ryskich restauracjach i płakałam, budząc się w numerze hotelowym, wśród butelek i niedopałków w popielniczkach i na talerzach... Potem znów wracałam do okopów, bo tam było moje serce.

„...Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko że go obdarli, ale jeszcze poranili, i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził ową drogą pewien kapłan i zobaczywszy go minął. Tak samo Lewita przyszedłszy na to miejsce i spostrzegłszy go, również go wyminął. Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go.”*

Matko Boża, Orędowniczko, dlaczego opowiadam mu o tym wszystkim jak na spowiedzi? Czy mnie słucha? Siedzi zapatrzony w pusty kieliszek, kręci go ostrożnie w palcach, a pod paznokciami ziemia, a paznokcie czarne, nalane krwią — upił się. Nie ma nic straszniejszego od pijanego żołnierza, pijanego wódką, pijanego od krwi, żądry. Podnieś oczy, popatrz na mnie, przekonam się,

* Łuk. X, 30—34

czy jesteś taki jak wszyscy, czy powstrzymuje cię rozum twego serca, czy tylko to, że jestem mniszką, mój list żelazny, za którym nie ukryjesz się ani przed sobą, ani przed tobą, ani przed życiem? Masz ładne czyste oczy, nic ich nie zmąciło — ani krew, ani wódka, ani chuć... Jesteś jeszcze chłopcem, miły Juriju... Siergiejewiczu! Jeszcze nie wiesz o niczym... I wszystko jedno: tylko jego nie widziałam pijanego, tylko w jego oczach tkwiło zrozumienie i smutek. Może dlatego że wszystko stało się w chwili, kiedy już jest za późno, kiedy nikt nie może odpowiedzieć na nasze pytanie, które umiera wraz z nami, by zrodzić się na nowo w innym sercu, zadrećcać je i zabijać powolnym piekącym bólem, milczącymi łzami. Kto wie, kto wie...

— I długo byliście na wojnie? — kapitan Berestowiec przestał nagle kręcić kieliszek w palcach.

— Zawsze wierzyłam w Boga — rzekła, nie odpowiadając na pytanie, matka Iraida. — Ale nigdy nie przypuszczałam, że może życie zakończy się w klasztorze.

— Co was tu przywiodło?

Matka Iraida milczała długo.

Kapitan nie powtórzył pytania. Rozumiał, że nie jest sędzią śledczym, a mniszka nie jest oskarżoną — jeśli zechce, sama powie. Odślaniało się przed nim życie, przejścia tak obce mu i dalekie, iż nie przypuszczał, że natychmiast pojmie jego złożoność i niezwykłość. Życie to należało do przeszłości, choć nie zakończyło się jeszcze i może nawet potrwać długo. W jakimś momen-

cie utraciło swój stały kierunek i poszło niezwykłym szlakiem, który nie prowadzi nigdzie. Czy ona mogła znać wszystkie przyczyny i powiązania, które nadały jej życiu ten, a nie inny kierunek?

Kapitan Berestowiec poczuł przyływ ciekawości, zaczął słuchać uważnie, nie przepuszczając już ani jednego słowa.

— Nie będę opowiadać panu o wydarzeniach historycznych — powiedziała mniszka. — Pan uczył się w szkole o tym, co ja widziałam i przeżyłam...

W pokoju, w celi, jak poprawił się w myśli kapitan Berestowiec, rozplynęła się woń nafty. Nad knotem w lampie uformował się wysoki czarny rożek i poczercił strugą dymu pękate szkielek pod mieszczańskim abażurem.

— Niech pan poprawi knot — zwróciła się do Berestowca matka Iraida. — Może pan stanąć na kanapie.

Berestowiec posłusznie wlaźł na kanapę, znalazł pod abażurem kółko od knota i przekręcił je, lecz w niewłaściwą stronę: kopzący rożek zwiększył się i wypełnił szklaną banię. Gorące powietrze wyrzuciło z niej strzępy kopciucha podobne do much. Skoczyły aż pod sufit i zaczęły wolno opadać na stół.

— Nic nie szkodzi — rzekła matka Iraida, kiedy kapitan Berestowiec, poradziwszy sobie w końcu z knotem, usiadł naprzeciw niej na kanapie.

Może wypadek z knotem pomógł jej pominąć w opowiadaniu to, co najistotniejsze, co musiałaby opowiedzieć, gdyby knot nie zaczął kopcić. Wszystko bowiem zmierzało ku temu. Lecz lampa

zaczęła filować na czas, więc kazała kapitanowi przykręcić knot, a w chwili kiedy niezdarnie wykonywał jej prośbę, minęło uczucie konieczności i mniszka mogła już spokojnie opowiadać dalej.

— Kiedy wybuchła rewolucja i front przestał istnieć, zostałam wciągnięta w wir wydarzeń jak drzazga w odmęt, z tą tylko różnicą zapewne, że drzazga nie czuje swojej zagłady. Ciskało mnie z frontu na front, trzęsło mną w eszelonach, morzyło głodem i chłodem, byłam wszędzie — u Kornułowa i Skoropadskiego, u Denikina i Wrangla... Nie zdziwi pana zapewne, że nie poszłam z żołnierzami. Czułam, że biała gwardia od początku ma przegraną sprawę, że czeka ją nieuchronna klęska, lecz dlatego byłam z białą gwardią i w Carycynie, i nad Donem, i na Kubaniu.

Czyż zbiera się winogrona z ciernia, albo z ostu — figi? Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wydaje złe owoce. Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców.*

Pociąg sanitarny z czerwonymi krzyżami na wagonach stał na torze w stepie. Olbrzymie jakby stopione na brzegach słońce toczyło się po białozłotym niebie tak blisko ziemi, że nagrzana pszenica z obu stron toru pachniała pieczonym chlebem. Na horyzoncie stały bez ruchu czarne słupy dymu, powoli rozplływały się i zlewały z niebem. W ich miejsce powstawały nowe, a łą-

* Mat. VII, 16, 17, 18

czyło się to za każdym razem z głuchym łoskotem, podobnym do huku grzmotu.

Czarne słupy ruszyły z miejsca i powlokły się wolno nad pszenicą w stronę toru. Grzmoty dudniły coraz głośniej. Słupy spieszyły się, ciągnęły krzywą linią, wyprzedzając się nawzajem; przed nimi toczyło się ponad pszenicą coś przypominającego mętną pianę, szare szumowiny.

W stronę toru jedna za drugą toczyły się bezsilne fale tyralier piechoty, zostawiając zabitych w wydeptanej pszenicy, unosząc rannych na rękach lub płaszczach.

Sanitariusze wyskakiwali z pociągu, brali ciężko rannych na nosze, a słupy dymu zbliżały się coraz bardziej. Pułk złożony z oficerów wycofał się za nasyp toru, parowóz zasapał i pociąg ze swym okaleczonym ładunkiem ruszył naprzód.

...Każde drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone.*

Błędem byłoby sądzić, że ich rozmowa, a przede wszystkim głębinowy nurt ich myśli świadczy o tym, iż dwoje ludzi siedzących przy jednym stole i słuchających siebie nawzajem może przez cały czas koncentrować się na najważniejszym, stanowiącym istotę ich rozmowy, że jedno może aż do końca należeć do drugiego, nawet w chwili spowiedzi, nawet w momencie najszczerzego ujawnienia siebie, gdy zdawałoby się, padają wszelkie przeszkody i ma nastąpić owo najwyższe wzajemne zrozumienie, którego ludzie tak gorąco pragną.

* Mat. VII, 19

W tym czasie, kiedy matka Iraida gotowa była zwierzyć mu się z najważniejszego, kapitan Jurij Siergiejewicz Berestowiec znów prawie jej nie słuchał.

Docierały doń spokojne na pozór słowa, docierały i zostawały w pamięci, lecz malowały one przed nim nie obraz dawnego życia mniszki i nie ją samą. Wszystko, o czym mówiła, było dla niego w tym momencie wyłącznie impulsem do myślenia o sobie, wszystko, co wynikało z jej słów, budziło w jego świadomości całkiem inne obrazy, których jasność i wyrazistość uzasadniało to, że stanowiły część jego własnego, a nie cudzego życia.

Kapitanowi zdawało się, że słucha mniszki ze współczuciem, lecz przed oczami miał pokój sztabowy, do którego winien był dawno się zgłosić; widział powściągliwie zakłopotanych oficerów sztabowych, wsłuchiwał się w ich gwar i nieustanny terkot maszyny do pisania — brakło mu odwagi, by spojrzeć w tamtą stronę — tam siedziała przy małym stoliku Jula, jej palce nieprzerwanie biegały po klawiszach maszyny.

Obok Juli siedział jasnowłosy starszy lejtnant i ściszym głosem dyktował długi raport wypełniony cyframi i terminami artyleryjskimi. Niekiedy Jula, nie dosłyszawszy jakiejś cyfry, zwracała twarz do starszego lejtnanta. Berestowiec nie patrzył w tamtą stronę — ciężko byłoby mu patrzeć na to, jak ostrzyżona chłopięca głowa Juli muska w tym momencie płową czuprynę lejtnanta, a ich oddechy mieszają się ze sobą...

No a teraz już można zerknąć. Palce Juli znów fruują nad klawiszami. Jula z niezależną miną

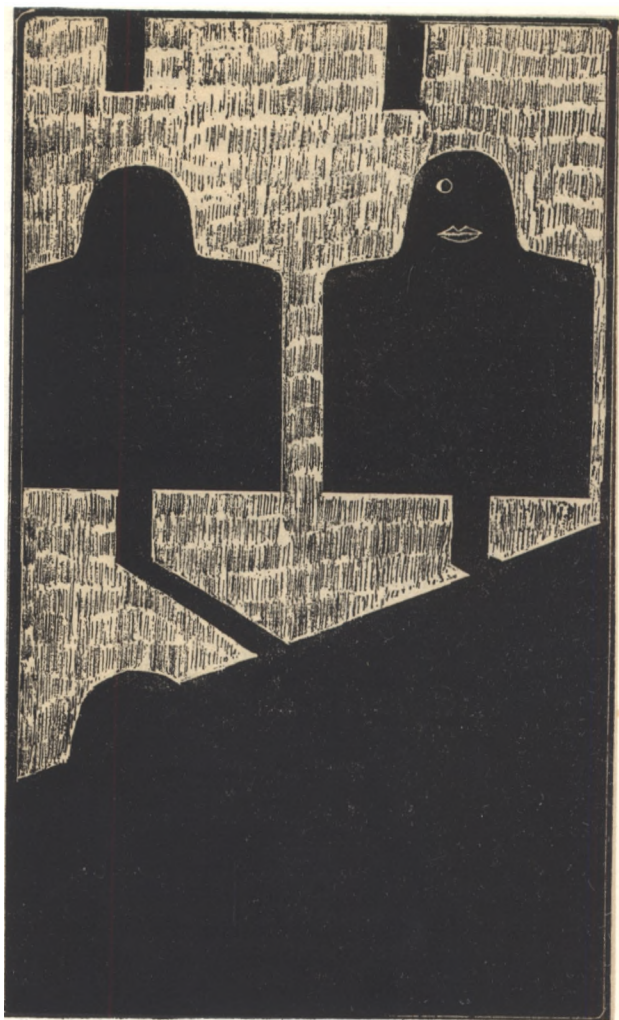
spogląda dokoła błyszczącymi oczami, wcale nie musi patrzeć na maszynę, nauczyła się pisać na ślepo, może pisać i jednocześnie rozmawiać na dowolny temat.

Co sprowadziło ją do sztabu, do wojska, na wojnę? Nieprzemyślany instynkt, który każe kobiecie być tam, gdzie giną mężczyźni? Podświadome uczucie nakazujące nie tylko mężczyźnie spieszyć z pomocą kobiecie w chwili niebezpieczeństwa, lecz również rzucające kobietę w ten sam ogień, który zagraża mężczyźnie, przyszłemu ojcu jej dziecka, gospodarzowi i budowniczemu jej krótkiego szczęścia na ziemi?

A jeśli nie ten instynkt, to może zrozumienie kosmicznej skali wszystkiego, co się dzieje dokoła, pragnienie własnego czynu, niechby niedostrzegalnego, lecz równie potrzebnego w zespole wysiłków, jakie wykonuje naród dla swego ocalenia, dla upragnionego zwycięstwa nad wrogiem.

A może to kobiecie upodobanie do maskarady skłoniło ją do ostrzyżenia głowy, włożenia szorstkiej bluzy i ciężkich butów, w zimie — watawanych spodni i uszatej czapki, przepasania watawanej kurtki twardym pasem, trzęsienia się w ciężarówkach podczas natarć i odwrotów, zawsze i wszędzie, ze ściśniętym z lęku i uniesienia sercem, stworzonym dla czułości i kochania?

Maszynistki sztabowe, instruktorki sanitarne, pielęgniarki, telefonistki i radiotelegrafistki — w sztabach, okopach i schronach, w pułkach lotniczych, na otwartym polu bitwy, w batalionach i pociągach sanitarnych — widział je teraz wszystkie, nie tylko strzyżoną główkę Juli nad



maszyną do pisania w dowództwie artylerii, widział i kochał wszystkie, a starszawa mniszka, patrząc na jego skupione oblicze, myślała, że słucha i nie przepuszcza ani jednego słowa jej spowiedzi, choćby z ciekawości, jeśli nie z ludzkiego współczucia — czyż może ją zrozumieć ten perkatonosy anioł ze skrzyżowanymi armatkami na naramiennikach... Nie może. Nie rozumie. Więc po co odstawia się przed nim tak jak nigdy przed nikim? Milcz — nakazuje sobie — i nie może się powstrzymać.

— W Rostowie powalił mnie tyfus — Berestowiec usłyszał oddalony głos mniszki, jak gdyby nie siedziała naprzeciw niego przy stole, lecz mówiła z wielkiej odległości, jaka ich w istocie rzeczy dzieliła. — Po powrocie do zdrowia zrozumiałam, że nie ma ratunku. Byłam wyczerpana chorobą, nie miałam już sił ginąć razem z białą gwardią. I to był grzech, jeden z moich największych grzechów. Popełniłam ich dużo — piłam wódkę, paliłam, nauczyłam się używać nieprzyzwoitych słów. W moim sercu zamieszkała obojętność — rodzona siostra okrucieństwa. Byłam wielką grzesznicą. Wtedy pierwszy raz pomyślałam o pokucie.

Mniszka nie patrzyła na kapitana. Jej dłonie leżały na białym obrusie, zlewając się niemal z przyżółconym płótnem. Ręce mniszki wyglądały jak martwe, spłynęła z nich cała krew, zdawało się, że są woskowym odlewem żywych niegdyś rąk, których nie wiadomo dlaczego nie zasypała jeszcze ziemia. Czarna gałka z chleba potoczyła się spod palców mniszki jak ołowiana kulka. To

pchnął ją woskowożółty palec. Gałka poturlała się po obrusie, ominęła karafkę i uderzając bezszelестnie o kieliszek, stanęła. Berestowiec nacisnął ją palcem, zmieniła się w placuszek o wystrzępionych brzegach. Berestowiec podważył go paznokciem — w zakłopotaniu patrzył na brudny ślad zostawiony na obrusie.

Mniszka uśmiechnęła się nikłym uśmiechem.

— Niech pan nie pyta, jak udało mi się przeostać przez całą Rosję na Litwę. Tam również rozgorzały namiętności, trwały walki. Rodziców nie znalazłam ani w Piotrogradzie, ani w Wilnie. Powiedziano mi, że jeszcze w osiemnastym roku wyemigrowali za granicę; jedni twierdzili, że do krajów skandynawskich, inni — że do Ameryki... W naszym domu mieściła się jakaś instytucja litewska, w moim pokoju stał wyplamiony atramentem stół kancelaryjny. Nad moim łóżkiem, w miejscu, na którym wisiał mój ulubiony kilimek z Dafnis i Chloe, została jaśniejsza plama, kilimek zdjęto niedawno, lecz tapet jeszcze nie zmieniono... Nie żałowałam ojca, dla matki był zawsze obcym człowiekiem, teraz oskarżałam go: dlaczego nie powstrzymał mnie, kiedy rzuciłam się w wir wojny, która okaleczyła i zabiła moją duszę? Płakałam po matce, pewnie ciężko jej było na obczyźnie... Płakałam również po siostrach, ale chyba najbardziej opłakiwałam nie moją rodzinę, lecz siebie...

— Nie miałyście dokąd pójść? — zapytał Berestowiec, ogarnięty mimowolnym współczuciem.

— Nie miałam — mniszka wyczuła jego niepokój. — Nie miałam dokąd pójść... Powiedzia-

łam panu, że zawsze wierzyłam w Boga, on teraz był moją ostatnią ucieczką.

— Słuchajcie! — Jurij nie mógł się powstrzymać i sam się zdziwił niespodziewanemu odruchowi serca, które podszeptało mu dalsze słowa: — Dlaczego zrobiliście to? Nie trzeba było tak robić!

Mniszka podniosła na niego oczy — z ich przejrzystości nic nie zostało; przesłaniała je zimna szarość, nie pozwalając zajrzeć w głąb, tam gdzie kryje się dusza człowieka — wejście do niej było zamknięte, trzeba było poprzestać na tym, co leżało na powierzchni, i tylko domyślać się, co kryje nieznana głębina.

— To, że straciłam wszystko na świecie — powiedziała mniszka — było tylko częścią mojej biedy. Całe nieszczęście polegało na tym, że straciłam siebie. Rozpoczynałam od współczucia dla ludzkich cierpień — teraz sama go potrzebowałam. Nic nie mogło mnie ocalić. Nie prosiłam nigdy Boga o nic, tylko o zdrowie dla matki i o przebaczenie moich drobnych przewin — ciastka zjedzonego w sekrecie przed guwernantką, odpowiadania ze ściągaczki na lekcjach w gimnazjum. Wiedziałam, że należy przystępować do komunii, Boże Narodzenie i Wielkanoc były największą radością mojego dzieciństwa... Ale nie wiedziałam o tym, że na Bogu można zrobić karierę, nie wiedziałam, że On ma swoich generałów i szeregowych, intendentów i pisarzy... Na ziemi i w niebie. Z początku byłam tym zaskoczona, stopniowo poznawałam życie za murem klasztornym i przekonałam się, że i tu nie ma spokoju. Wszyscy walczyli z wszystkimi — prawosławni z katolikami,

mnisi z duchowieństwem świeckim i między sobą. Bóg zniknął dla mnie w tej walce, rozszarpywano Go na części. Każdy chciał mieć całego Boga w swoich rękach i nie chciał widzieć, iż swoją walką zabija go...

— I zrozumiałwszy to pozostałyście?

Matka Iraida rzuciła baczne spojrzenie na kapitana i milczała chwilę. Zdawało się, że jego pytanie naruszyło tok jej myśli, lecz było inaczej: Berestowiec zrozumiał, że odpowiedzią jest dalszy ciąg jej opowieści.

— Pewnego ranka obudziłam się nie na Litwie, lecz w Polsce. Po Wilnie chodzili polscy żołnierze w rogatywkach, zjawily się nowe szyldy, a instytucje, z którymi miałam do czynienia, już nie były litewskie, lecz polskie. Znalazłam się w innym państwie, które odnosiło się niechętnie do wszystkiego, co przypominało dzień wczorajszy. W litewskim Wilnie czułam się mniej obco. Teraz pozostało mi tylko zamknąć się w sobie, za murami, o które rozbijały się fale obcego życia... Modliłam się żarliwie do mojego Boga. Nikt nie domyślał się, że to jest inny Bóg, nie ten, którego czczą wszyscy dokoła. Lecz modliłam się w zgodzie ze wskazaniem cerkwi, moja gorliwość została oceniona — i zaczęła się moja kariera, wędrówki z klasztoru do klasztoru, służba na różnych stanowiskach, jak by pan powiedział, aż w końcu przysłano mnie tutaj, do tego starego klasztoru. Ludność okoliczna jest prawosławna, trzeba było o nią walczyć przeciw unitom i autokefalistom... Nie miałam kiedy myśleć o Bogu mojego dzieciństwa, o tym wszechmocnym Bogu, którego nie trzeba było o nic prosić — wszystko dawał sam: ma-

mie — zdrowie, a mnie czystą radość w dniach Wielkiejnocy...

Mniszka ładnie gada, takimi słowami, o których nie pomyślałbym, że są znane w klasztorze. A może specjalnie ze mną tak rozmawia?

Berestowiec zatrzymał się przy tym przypuszczeniu i doszedł do wniosku, że mniszka nie może nieświadomie używać takich słów w rozmowie z człowiekiem z innego świata, talenty dyplomatyczne i intuicja same podpowiadają jej słowa, na które pewnie nie zwraca uwagi. Długoletnia praktyka nauczyła ją sztuki rozmawiania z każdym człowiekiem: z Litwinami, Polakami, potem z nami... Z Niemcami również uprawiała dyplomację przez trzy lata! Poszło jej z nimi całkiem łatwo — jest folksdojczką, a gestapo umiało z tego korzystać, nawet wbrew woli człowieka. Dookoła mordowano, rozstrzeliwano, zakopywano żywcem w ziemi, wieszano, wytruwano w komorach gazowych, a ona rozmawiała z mordercami ich językiem, podświadomie używała dostępnych dla nich słów, może nawet świadomie: widzicie, nie jestem staroświecką mniszką, zaskorupiałą w prawosławnej dewocji, jestem człowiekiem współczesnym, umiem rozmawiać ze współczesnymi!

Dywizjon ciągnął okolicą, dudniły koła armatnie na wyboistym bruku, z przodu widać było długie murowane budynki zbombardowanych koszar. Słońce zachodziło za lasem i oświetlało osmalone cegły, jakby oblewając je krwią.

Berestowiec spostrzegł z daleka na środku placu wielki drewniany krzyż, słońce barwiło go

krwią; przełamany cień krzyża przesuwał się wolno po murach koszar.

Pagórek z piasku na placu wydawał się również czerwony, zdawało się, że nawet na liściach drzew rosnących dokoła placu zastygła krew.

Im bliżej było koszar, tym jawniejszy stawał się słodkawy zaduch. Konie rżały niespokojnie. Jezdni zeskoczyli z jaszczów, rozległo się trzaskanie batów, stłumiony krzyk, lecz nie rozdrażniony i zły jak zwykle w takich wypadkach, ale hamowany, pełen niepokoju, jak gdyby ktoś mądry i doświadczony uspokajał kogoś nierozumnego i wskutek tego spłoszonego w obliczu nieuchronnego bólu. Trzeba było przezeń przejść, nie zatracając siebie.

Berestowiec jechał wierzchem za dywizjonem, spał konia ostrogami i pocwałował naprzód. Ciężki zaduch, którego przyczyny nie rozumiał, zaparł mu oddech.

— Co się stało? — krzyknął do jezdnych, osadzając konia.

Wierzchowiec nie zarżał, lecz krzyknął przerażony i szarpnął się w bok, pod drzewa rosnące na skraju drogi. Spod gałęzi Berestowiec ogarnął okiem cały plac. Wokół wysokiego dębowego krzyża garbiły się równe rzędy wielkich mogił usypanych z piasku szarego, jakby zakrwawionego słońcem. Przy kilku mogiłach krzątali się żołnierze z łopatami w ręku, obok kilku rozkopanych grobów stali oficerowie i cywile, pop w fioletowej sutannie, ze srebrnym krzyżem na piersi, kobiety w mundurach i w zwykłych sukniach. Maski z gazy osłaniały twarze, widać było tylko oczy.

Żołnierze wynosili z rozkopanych grobów szczątki tego, co było kiedyś żywym ludzkim ciałem.

Kalenik Timczenko nadjechał i zatrzymał się obok Berestowca. Kalenik zawsze wiedział wcześniej o wszystkim niż jego zwierzchnik. Koń Timczenki nie mógł ustać w miejscu, rżał przeraźliwie i wytrzeszczał przerażone oczy.

— To wykopują naszych żołnierzy wziętych do niewoli... — Niemcy leczyli ich tu w szpitalach. Który nie wracał do zdrowia, tego żywcem... powiedział ordynans.

Berestowiec zeskoczył z konia, rzucił cugle Kalenikowi i poszedł między szarymi pagórkami w stronę dębowego krzyża, do ludzi w maskach z gazy.

Nagle usłyszał za sobą ciche kroki, to prawie cały dywizjon szedł za nim ścieżką wydeptaną między mogiłami.

Ludzie stojący pod krzyżem rozstąpili się i przepuścili artylerzystów. Berestowiec, stojąc za polem, spostrzegł, że kopiący wyjmują z grobu jakiś straszliwy naszyjnik namazany na stalowy drut.

Wysoki cywil odchylił gazę nad ustami i powiedział głosem urywanym ze wzruszenia:

— To dzieci żydowskie, uciekały w drodze do przygotowanych grobów, chwytano je, nawlekano na gruby drut i żywcem zasypywano ziemią.

Na stole zbitym z sosnowych desek ułożono zwłoki chłopca w zetkniętych szarych spodenkach i czerwonej kiedyś koszulce. Kobieta w białym fartuchu pochyliła się nad zwłokami dziecka i długo coś robiła przy nich wśród martwej ciszy. Potem wyprostowała się i podniosła obie ręce w gó-

rę, w słońcu załśnił lancet. Lekarka, zwracając się do wysokiego cywila, powiedziała przez maskę z gazy:

— Piasek w płucach.

Berestowiec usłyszał za sobą głośną czkawkę. Obejrzał się. Niski chudy kanonier z drugiej baterii czekał, zasłaniając usta rękami. W jego obłądnych oczach zapalały się błyskawice cierpienia, chude ramiona podrygiwały, dwaj artylerzyści chwycili go pod ręce i poprowadzili naprzód między szarymi pagórkami.

Kanonier zrobił potulnie kilka kroków, nagle machnął rękami, a koledzy-artyleryści odlecieli w obie strony.

Żołnierz schwycił się za pierś, wił się i skręcał, szarpał na sobie bluzę i bódł głową pokrytą rzadką szczeciną rudawych włosów...

Kapitan Berestowiec, chwiejąc się na nogach, ruszył do swoich dział. Artylerzyści trzymali się w pewnej odległości za nim. Pod drzewami czekał Kalenik Timczenko, Berestowiec dosiadł konia, machnął ręką i pocwałował naprzód.

Dywizjon ruszył z wolna i hurkocząc w ogłuszającej ciszy kołami armat, pociągnął za nim.

Kapitan Jurij Berestowiec siedział przy stole w celi klasztornej — a jednocześnie jechał wierzchem na czele swego dywizjonu. W jego świadomości przemieściło się wszystko. Widział celę, mniszkę pijącą małymi łykami zimną herbatę, ciemną ikonę i płonącą przed nią lampkę w kącie celi, a jednocześnie widział wysoki dębowy krzyż, rozkopane groby, zwłoki dziecka na drewnianym stole i lekarkę w masce z gazy.

Berestowiec jechał przed swoim dywizjonem, to wszystko powinno być już być poza nim, lecz rozkopane cmentarzysko hitlerowskiego „szpitala dla jeńców radzieckich” płynęło przed nim, płynęło i nie zniknęło sprzed oczu, tylko z nieznannej przyczyny stawało się przezroczyste, jakby namalowane na szkle i przez ową przezroczystość straszliwego malowidła nadjeżdżało z przeciwnej strony moszczoną drogą otwarte lando zaprzęgnięte w spasione siwe konie.

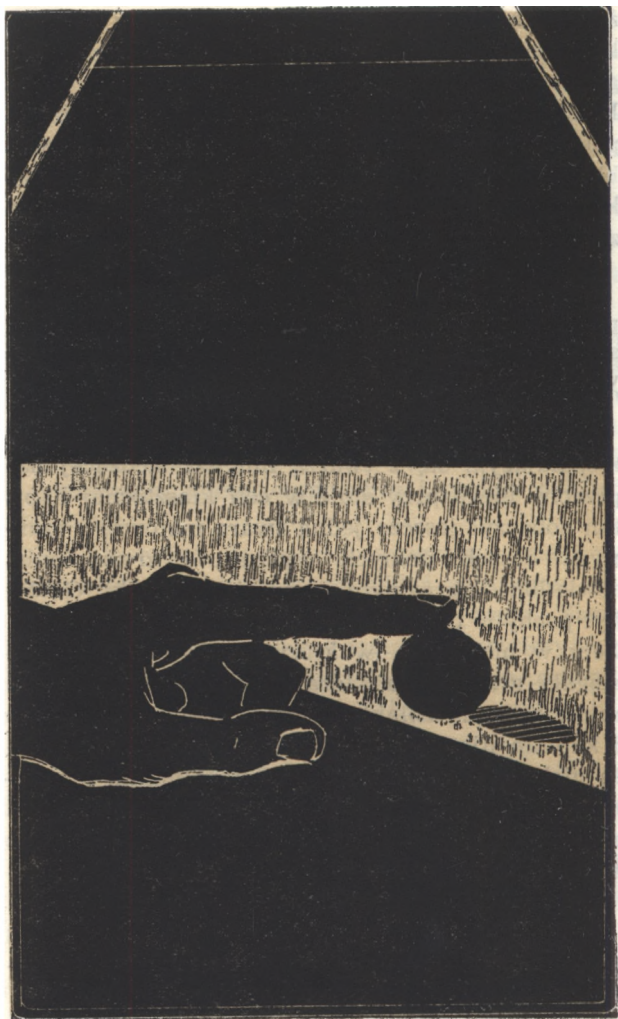
Powozila młoda zażywna kobieta w habicie zakonnym, jej pełna różowa twarz z podwójnym podbródkiem dyszała zdrowiem, habit opinał dorodną pierś — mniszka rozsunała łokcie jak prawdziwy stangret, pulchne usta składały się do gwizdnięcia.

Berestowiec zrównał się z landem i zobaczył na skórzanym siedzeniu drugą mniszkę, starszawą, zgrabną i wytworną nawet w ciężkim jedwabnym habicie.

Czarna chustka podkreślała niewzruszoną błądź spokojnej, jakby zastygłej twarzy. W przezroczystych oczach nie było duszy, był chłód i obojętność.

Lando toczyło się na Berestowca, lecz nie zbliżało się, utrzymując się ciągle w tej samej odległości, siwki przebierały mocnymi nogami w powietrzu, koła obracały się, tęga kobieta na koźle ściągała lejce i rozstawiała łokcie, wszystko stało w miejscu, a jednocześnie twarz mniszki siedzącej w landzie płynęła ku niemu i zespalała się z twarzą matki Iraidy, popijającej herbatę przy owalnym stole w celi klasztornej.

Berestowiec nie mógłby powiedzieć na pewno,



że właśnie ją, matkę Iraidę, widział w landzie, lecz nie mógł również odrzucić tej myśli — to mogła być ona, niewykluczone, że to była ona... Klasztor, w którym się znajdował, zbyt blisko był położony od pola z dębowym krzyżem, a jeszcze bliżej łączyły się w jego świadomości dębowy krzyż na cmentarnym polu i pobożność umiejąca zamknąć oczy na okrucieństwo, cierpienie, krew.

...Przypadkiem przechodził ową drogą pewien kapłan i zobaczywszy go minął, tak samo Lewita przyszedłszy na to miejsce i spostrzegłszy go, również go wyminął.*

Za przezroczystym obliczem mniszki w landzie zespalał się z twarzą mniszki siedzącej naprzeciw niego przy stole w celi klasztornej kapitan zobaczył jeszcze jedną twarz matową, o czarnych oczach pełnych wyrzutu i zrozumienia, oświetloną czerwonym płomykiem lampki. Gotów był pochylić przed nią głowę i uznać jej wyższość. Lecz w momencie, w którym jego gotowość dosięgała granicy, za którą zaczyna się przemiana myśli w czyn, zbladło również to nowe widzenie i kapitan ujrzał twarz kobiety, która poznała całą głębię cierpienia i smutku, twarz matki, nie cudzej, lecz własnej matki. Tak ją zapamiętał przed muzeum, z którego wynoszono zwęglone ciała i układano na ceglanej ścieżce...

— Na długo do mnie, synku?

— Żegnaj, mamó — powiedział, obejmując jej wątłe ramiona. — Jeśli wyżyję, przyjadę na dłużej.

* Łuk. X, 31—32

I tętnią kopyta jego konia, i toczy się na spotkanie brukowaną drogą błyszczące lando, i spływa krwią dębowy krzyż w polu, pośród szarych mogił, a siwe spasionie konie bezdźwięcznie przebiegają nogami w powietrzu jakby nie dotykając ziemi.

Mniszka odsunęła nie dopitą szklankę herbaty.

— Pańscy żołnierze — powiedziała — pańscy żołnierze zabrali nasze konie, a wkrótce zaczynają się siewy.

W tej chwili niepodobna była ani do mniszki, ani do nauczycielki. Wyglądała jak właścicielka ziemska zaprzątnięta gospodarką. W jej stalowych oczach błysnął nieprzejednany chłód. Zdawało się, iż mówią: dla mnie nie istnieją żadne trudności i przeszkody, wiem, czego chcę i umiem dobijać się swego.

— Pojechałam do waszego generała — ciągnęła dalej matka Iraida — kazał oddać nam konie. Co prawda oddano nam, ale inne, nie nasze. Nasze wyruszyły naprzód z jakąś jednostką artyleryjską. Nam oddano wynędzniałe, sparszywiałe szkapy. Ale nic nie szkodzi, umiemy leczyć i odkarmiać zwierzęta.

Jej słowa tchnęły takim samym chłodem, jakim połyskiwały nieprzejednane oczy. Berestowiec poczuł wzbierającą wrogość, mógłby teraz odpowiedzieć tak, jak mu się żywnie podoba, lecz opanował się i pojmując, że mniszka zrozumie wszystko, co on ma na myśli, rzekł:

— Może to moi artylerzyści zabrali wam konie.

Mniszka rzuciła nań lekko zdziwione spojrzenie. Wyczuła w nim ten sam upór, jaki cechował ją samą.

— Być może — zgodziła się, a w jej oczach zabłyśły ciepłe iskierki, jak gdyby ucieszyło ją to odkrycie.

Te iskierki nie uszły uwadze Berestowca, ale odczuł ukrytą w nich wrogość. Zdarzało się, że nie poznawał swoich koni w zaprzęgach, i co z tego? Trzeba było iść naprzód; dowodzi dywizjonem artylerii konnej, gdyby miał ciągniki, nie doszłoby do zatonięcia działa w bagnisku! Na wojnie nie ma czasu na sprawdzanie, czy ciągną własne konie, czy cudze, trzeba wojować i trzeba mieć czym wojować... A konie giną tak jak ludzie, tylko jeszcze straszniej jest patrzeć na konające nieme zwierzę, kiedy wije się w ostatnich drgawkach, kiedy krzyczy, kiedy z mętniejszego oka spływa ostatnia łza.

A jak płonie, świeci, błyszczą końskie oko, gdy śmierć nie zmieniła go jeszcze w odłamek zbielatego szkła! W świetle dnia jest ciepłe subtelnym, wilgotnym ciepłem, jak oko dziecka, a w nocy...

W stronę Andruszówki ciągnął pułk kawalerii. Berestowiec nadjeżdżał z przeciwnej strony ciężarówką, kierowca musiał co chwila włączać reflektory, by nie wjechać w kolumnę lub nie wpaść do rowu.

Końskie oczy zapalały się w błyskach latarni jak wielkie podłużne szmaragdy, płynęły w powietrzu, wypełnione na przemian jasnym i ciemnym blaskiem, i gasły wraz ze światłami. Śniło mu się to później w szpitalu, kiedy był ranny. Podłużne szmaragdy pełne ciepła i światła zjawiały się w mroku i płynęły nad nim jak wielkie, płomienne gwiazdy, przesuwały się w ciemności pod sufi-

tem sali szpitalnej, łączyły w gwiazdozbiory i ga-
sły nad ranem, gdy za oknem zaczął poruszać li-
stowiem rozłożysty klon, a ptaki nawoływały go
zgiełkliwie: żyć! żyć! Żyć!

— Taki uśmiech może mieć tylko bardzo dobry
człowiek — powiedziała mniszka patrząc na Juri-
ja — O czym pan teraz myślał?

Berestowiec nie odpowiedział.

Może w tej chwili myśli o niej, o jej wizycie
u generała w sprawie koni — mój Boże, nie po-
trzebowałaby tych koni, gdyby nie siewy i per-
spektywa pozostania bez chleba! A może to nie do-
broć odbiła się na jego twarzy, lecz tajemna drwi-
na, którą skrywa, bo nie chce jej urazić?

Cóż z tego, że też jest artylerzystą, że ma nara-
mienniki ze skrzyżowanymi armatkami, że czarne
cienkie wąsiki nie postarzają jego chłopięcej twa-
rzy?

Był tylko jeden dobry na całym świecie.

Niesiono go do pociągu na płaszczu przez wy-
palony doszczętnie step, z pociągu wybiegli sani-
tariusze, złożyli go na noszach, przykryli płasz-
czem. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła wówczas
z okna wagonu, były połamane podkładki artyle-
ryjskich naramienników na szynelu.

Koła dudniły, pociąg chybotął się na szynach,
rozkołysało się wiszące łóżko, na bajowej po-
włoczce zżółkłej od nieustannego prania ciemnia-
ła jego twarz płonąca gorączką. Nie otwierał oczu,
w piersi mu bulgotało.

O świecie, po długich przejazdach od stacji do
stacji, po nocnych postojach w stepie i na zni-

szczonych przystankach, pociąg zbliżał się do dużego miasta na południu. Wysoki, wąski most jęczał ciężko pod kołami. Pierwszy promień słoneczny, wzmocniony odblaskiem wody pod mostem, przebił się przez okno wagonu. Ukośny promień wypełniony drobinami kurzu dotknął jego twarzy. Ranny westchnął i otworzył oczy. Ujrzała, że są duże, zdziwione i dobre...

Człowiek powracający do życia musi się dziwić, musi być dobry — to zdziwienie i dobroć rozszerzają oczy, oczyszczają je, napełniając swoim światłem.

Tak, naprawdę był dobry, był jej wdzięczny za to, że była przy nim, kiedy pierwszy raz otworzył oczy po długiej nocy równej niebytowi.

Dobry... Lecz on przecież także strzelał ze swego działa, czyli zabijał ludzi, więc był taki jak i wszyscy inni ludzie, którzy mogą być zdziwieni i dobrzy, a jednocześnie mogą strzelać i zabijać. Przyniesiono go ze stepu na płaszczu, odniósł śmiertelną ranę, strzelano do niego — a ci, co strzelali, również byli dziwiącymi się, dobrymi ludźmi.

Kapitan i mniszka dużo wspominali tej nocy. Lecz w realnym życiu istniało coś jeszcze, czego nie mogli sobie przypomnieć, dlatego iż to coś, niezwykle ważne i istotne, działało się poza sferą ich wspomnień, choć dotyczyło ich dzięki losom innych ludzi, z którymi ich los był związany, niezależnie od tego, czy wiedzieli, czy nie wiedzieli o tym.

Odrapany, długi i wysoki mur więzienny niknął w ciemności. Tylko pod bramą paliła się latar-

nia, oświetlając okute żelazem skrzydła ciężkich wrót, wyciętą w nich furtę, wielkie główki nabijanych gwoździ i pordzewiałe zawiasy.

Spoza muru patrzyły ślepo w ciemność zakratowane okna. Ciemność rzedniała wolno, najpierw jakby ktoś stał z nieba gwiazdy, potem zaczął zmywać głębokie farby nocy, zostawiając tylko szare smugi rannych obłoków.

Matka stała od wieczora w krzakach, oczekiwała świtu i bała się go, a noc mijała szybko, krótka noc lipcowa, w której ziemia nie zdąży wypocząć i pył nie ostygnie na drogach.

Matka wiedziała, że to ma się stać na pograniczu nocy i dnia, pierwszy raz w życiu lękała się światła i błagała o to, żeby noc nie przemijała, by nie zaświtał dzień...

Matka miała chłopca na ręku. Ukołysany ciszą, ciepłym tchnieniem nocy, spał spokojnie. Przykryła go skrajem chusty, którą narzuciła na ramiona wychodząc z domu.

Dziecku było przytulnie i ciepło. Czuła na piersi ciepło jego drobnego ciała. Przed świtem chłopiec ocknął się.

— Śpij, Jureczku — szepnęła, dotykając wargami czoła dziecka.

Dała mu piersi. Chłopczyk znów zasnął.

Usłyszała w oddali tętent kopyt, lecz bała się opuścić kryjówkę w krzakach, skuliła się, by jej nikt nie zobaczył, i między kłującymi gałązkami karagany zobaczyła na drodze mały oddziałek piechoty liczący dziesięciu żołnierzy oraz trzech konnych. Jeden jechał na czele, jadący za nim rozmawiali ze sobą.

Rozwarła się przed nimi brama więzienna, mat-

ka usłyszała ciężki zgrzyt zawiasów — i bramę zamknięto.

W tym czasie zaczęło świtać, niebo wznosiło się coraz wyżej, chmury rozplywały się w nim, barwy nieba zjaśniały, było już przezroczyste, tchnęło spokojem i radością... Obok jej kryjówki w krzakach przebudziły się wróble i wszczęły jakąś rzeczową rozmowę, przelatując z miejsca na miejsce, świergocząc i nie zwracając na nią uwagi. Były zajęte własnymi sprawami, których nie mogła zrozumieć, podobnie jak one nie mogły pojąć, na co czeka tutaj, w ich królestwie.

Za murem trwała cisza, jakby się tam nic nie działo, choć ona wiedziała, że dzieje się to, co spowodowało ją tutaj, czemu nie mogła zapobiec. Nie pragnęła niczego, nie czuła nic — ni zmęczenia, ni strachu, nawet ból, który nie opuszczał jej cały czas, znikł, zostawiając głuchą pustkę w piersi.

Wróble sfrunęły z krzaków na drogę, najpierw jeden, za nim reszta — drogą przeszły niedawno konie, więc wróblom nie brakło roboty, zakrzętały się żwawo. Ze swojej kryjówki widziała dobrze ruchliwe szare kulki nastroszonych piór, lśniące paciorki oczu i kuse ogonki.

Za murem było cicho.

Później przyleciał biały gołąb o szarobłękitnych skrzydłach, przycupnął na uboczu drogi jak gdyby nie ciekaw tego, co robią wróble. Nawet z początku ruszył w całkiem inną stronę, przestępując kosmatymi nóżkami i z oddali zaczął zbliżać się ostrożnie do wróbli, którym ani się śniło przeszkadzać mu — wystarczy dla wszystkich. Więc gołąb

przyłączył się do ich gromadki. Nie wadzili sobie nawzajem.

Jakby się tam nic nie działo.

Chłopiec przebudził się, matka wzięła go pod tłuste nóżki i dziecko, siedząc na jej rękach, załatwiło swoją sprawę, a ona znów dała mu piersi.

Z więziennej bramy wyszedł żołnierz, ziewnął, poprawił na sobie pas z wielką klamrą, rzucił okiem na krzaki, na drogę. Na jego widok niepokój ogarnął ptaki i choć żołnierz dał nura do bramy, rozpierzchły się na wszystkie strony, jakby ktoś rzucił kamieniem.

Zgrzytnęły zawiasy, otworzono bramę, pluton piechoty wyszedł na drogę — przed nim jechało dwóch konnych, jeden jechał za plutonem.

Trzeci jeździec niedbale trzymał cugle w rękę i rozglądał się dokoła, jak gdyby teraz dopiero spostrzegł, że ze wszystkich stron rozciąga się ziemia, że rosną na niej drzewa i krzaki, latają wróble, a spod żołnierskich butów wzbija się przydrożny pył... Wierzchowiec giął szyję i przestępował z nogi na nogę jak w tańcu.

Jeden z jeźdźców na czele plutonu odwrócił się w siodle i krzyknął:

— Pospieszcie się, Juriju Nikołajewiczu!

Lecz jadący za plutonem zatrzymał konia przed krzakami, tam właśnie, gdzie kryła się matka, która zlekła się, że ją zobaczy. Oddziałek poszedł dalej, a on siedział na koniu o kilka kroków przed nią, piękny, w ładnym mundurze i nawet nie patrzył w stronę jej kryjówki. Miał spokojną twarz, jasne oczy, widziała dobrze. Nie spiesząc się, wydobyl z kieszeni angielskiego frenczu srebrną papierośnicę, wyjął cienkiego złotego papierosa, za-

palił i długo patrzył na zapałkę tłącą się w jego palcach... Matka poczuła zapach dobrego tytoniu. Jeździec rzucił zapałkę w krzaki, wierzchowiec ruszył z miejsca — rozpląnął się tętent kopyt, znów nastąpiła cisza, jakby się nic nie zdarzyło.

Lecz matka wiedziała: stało się. Wiedziała nawet więcej: to on ze spokojnym obliczem i jasnymi oczami zrobił za murem coś, co winno było zmać jego oczy i wykrzywić twarz przerażeniem. Stało się.

Cisza panowała za murem, cicho było na drodze, na której znikł on, we frenczu, z papierosem w ustach, na niecierpliwym koniu.

Z bramy wyjechała podwoda, spod rogoży wystawały bosc nogi. Jeden żołnierz siedział na wozie i trzymał lejce, drugi szedł obok z łopata na ramieniu. Koła zadudniły na brukowcach, podwoda skręciła w pole, rogoża zsunęła się, odsłaniając płócienne kalessony na martwych nogach, które poruszały się i zderzały.

Matka z chłopcem na ręku wyszła z krzaków i poszła w ślad za podwodą, na której wieziono ojca.

Tego sobie nie mogli przypomnieć. Ani kapitan, ani mniszka.

Może wcale nie był dobry, wszystko jest prawdopodobne... Ona tego już nie może sprawdzić. A co uczyniła ona razem ze swoją dobrocią? Czy jej dobroć ochroniła przynajmniej jedną istotę ludzką, czy uratowała choćby jedno życie? Komu potrzebna jest martwa niewzruszalna prawda, ze-

włok prawdy, wieczyste relikwie okryte najkosztowniejszym całunem?

Tak nie myślała wówczas, lecz myśli obecnie, kiedy minęło już tyle lat, kiedy ktoś obcy i nieznanymi siedzi naprzeciw niej przy stole i odbiera spokój, budzi przeszłość swoją podłużną smagłą twarzą, czarnymi wąsikami nad młodzieńczą wargą i artyleryjskimi naramiennikami na bluzie poplamionej atramentem.

Dziela ich lata, bezdeń niezrozumienia, martwe pojęcia, skamieniałe formy, dzieli ich wszystko, co czyni życie nie do zniesienia, przekształca je w tragedię lub farsę — jak komu sądzone.

Od dwudziestu lat nie była w teatrze, nie czytała żadnych ksiązek prócz Ewangelii i żywotów świętych, a przecież były czasy, kiedy dzień bez książki wydawał się pustynią, były wiersze o miłości, spektakle amatorskie, żywe obrazy, w których brała udział przebrana za Turczynkę, Hiszpankę, za anioła... Była łoża w operze i ściśnięta w talii Carmen, podnosząc smagłe ręce, śpiewała: miłość to cygańskie dziecię... Pewnego razu przyjechawszy z głuchego klasztoru do Warszawy, pożyczyla w hotelu od pokojówki płaszcz pod pretekstem, że marznie (istotnie jesień była chłodna, padały deszcze, zimno przesywało do kości), włożyła chusteczkę na głowę i poszła do kina na seans poranny. Na ekranie wytworni panowie zalecali się do pięknych pań, pili szampana i strzelali się, kradli brylanty i uciekali przed policją, nieoczekiwanie zjawiał się błądy oficer i ocalał heroine od nieuchronnej śmierci... Może to był film niemiecki albo francuski, lecz ona wspominała Wierę Chołodną i Iwana Mozzuchina, wszystko

było obce, już wtedy nie mogła zrozumieć, co się dzieje przed jej oczami. Może to, co dla jednych jest tragedią, inni traktują jak farsę. Czyż ludzie mogą myśleć i traktować rzeczy jednakowo, ot na przykład ona i ten młody artylerzysta, od którego smagłej twarzy nie może oderwać oczu?

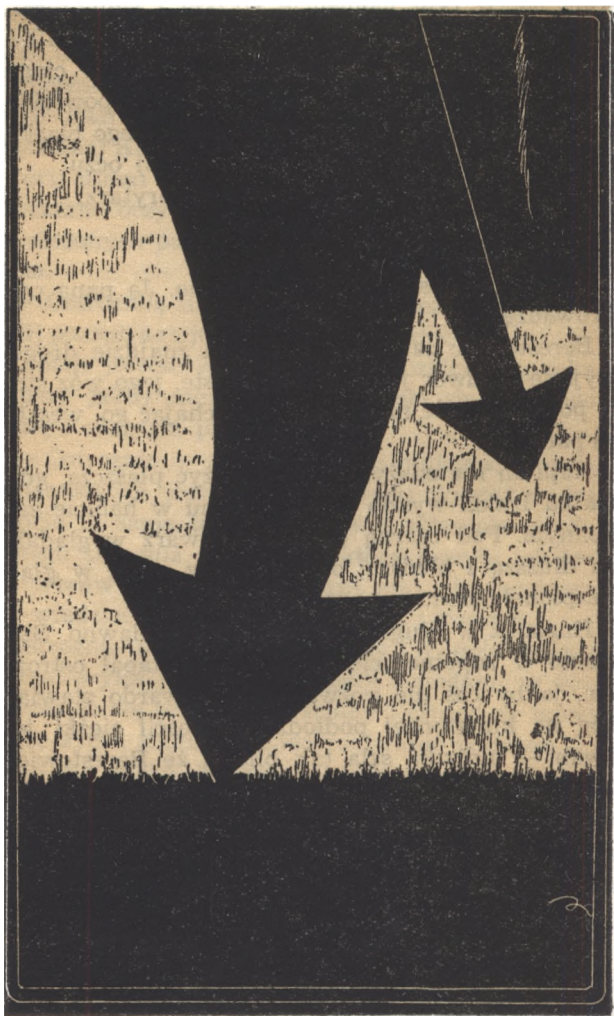
Dawne życie nie kończy się w chwili, gdy zaczyna się nowe, długo jeszcze kroczy obok niego, współistnieje, nie zauważa się go, a zauważywszy, nie przywiązuje się do niego znaczenia, lecz ono jest w dalszym ciągu życiem tak długo, póki nie nadejdzie czas współistnienia dla nowego zwycięskiego życia i walki z jeszcze nowszym... Ale i wtedy jeszcze nie kończy się wszystko. Przeszłość wplata się w teraźniejszość, żadne życie nie istnieje bez innego, nawet gdy przychodzi kres, kiedy swoją ostatnią chwilą zwalniasz miejsce pod nowy siew, dla owego kłosu, który nie wie, w jakich ciemnościach tkwią jego korzenie.

(Dobrze, że nic nie powiedziałam i nic już teraz nie powiem, oto on wstaje, podziękuje i pójdzie, a może nie podziękuje jak mnóstwo innych... Nie, on na pewno podziękuje, ten Jurij... Siergiejewicz!)

Kapitan Berestowiec poprawił koalicijkę na ramieniu i stuknął obcasami.

— Dziękuję — powiedział z uśmiechem zakłopotania. Podniesiona młodzieńcza warga poruszyła czarne wąsiki. — Powiem wam prawdę: nie myślałem nigdy...

Mniszka również wstała z miejsca, wyda-



wała się w tym momencie wyższa i smuklejsza, jak gdyby owa niewiadoma kapitanowi walka, którą niepostrzeżenie dla niego przeżyła w ciągu tych godzin, ukształtowała ją na nowo, powlokła nową bladością jej oblicze i dodała nowego blasku niepojętej, przezroczystej ciemności jej oczu.

Podeszła do drzwi i zawołała na korytarz:

— Siostró Horpyno!

Nie było odpowiedzi.

— Pewnie zasnęła, już jest późno. Ja pana odprowadzę.

Berestowiec zaprotestował: sam znajdzie drogę, wyjście na dwór jest całkiem proste, jego wóz stoi w pobliżu — ale mniszka, nie słuchając go, weszła za parawan.

Kapitan nie zdążył jeszcze włożyć płaszcza, gdy matka Iraida wyszła z za parawanu w habicie zakonnym. Pod czarną chustą jej twarz wyglądała na dłuższą i bledszą, oczy zapadły nagle w głąb i zapłonęły ciemnym ogniem.

Kaganek w długim korytarzu zgasł dawno. Szli wolno w zupełnej ciemności. Jurij stąpał ostrożnie, jakby coś nie pozwalało mu twardo stawiać nóg na klasztornej podłodze. Szeleścił ciężki jedwab — mniszka szła tak blisko, że Berestowiec czuł, jak jej szata dotyka rękawa jego szynelu, wciągał w nozdrza zapach wonnych traw czy nieznanej mu wody kwiatowej, jakiej używała pragnąc być kobietą nawet tu, za białą ścianą dzielącą ją od świata.

Może to było coś innego, woń rozkładu, gnicia czy kadzidla — Jurij nie wdychał go nigdy, wiedział tylko, że w cerkwiach używa się kadzidla, by kadzić Bogu... Kadzić? To dziwne, skąd do

niego to słowo, przecież nigdy nie słyszał takich słów, ale czy używa go we właściwy sposób, czy nie brzmi w jego myślach ironicznie? Pewnie, dlaczego miałby używać go w całej powadze jego znaczenia! Kadzą, i ona kadzi...

Jurij ujrzał w ciemności oczy kobiety, nieruchome czarne oczy i delikatną dłoń o cienkich, dziwnie złożonych palcach, wzniesioną jak znak ostrzeżenia.

— Ostrożnie, tu są schody — szepnęła mniszka. Jurij poczuł, że ujęła go lekko za łokieć.

Zrobili jeszcze kilka kroków w milczeniu, ręka kobiety jakby mimowolnie wsunęła się pod jego ramię i zastygła przestraszona.

— Ostrożnie — szepnęła znów mniszka, przyciskając się do jego ramienia. Jurij wyczuł w jej szepcie tę samą tajemnicę, która skłaniała go do cichego stąpania, tajemnicę, która łączyła ich teraz wbrew jego woli, o której nikt nie powinien był wiedzieć — taka była straszna i kusząca.

Ostrożnie dotknął ręką ściany. W dole ledwie szarzał wylot drzwi. Jurij szedł schodami w dół, trzymając się prawą ręką ściany i czując na lewej cudze życie, które tak nieoczekiwanie podeszło do niego tak blisko. Kroków mniszki również nie było słychać, Jurij czuł tylko jej oddech, tylko jej ciepło — a przez sztywny rękaw płaszcza — dotknięcie jej palców, które drżały jakby w obawie, że zgubią go w tej ciemności — teraz i na zawsze.

Mniszka zatrzymała się, musiał zrobić to samo. Może szedł zbyt szybko, a ona zmęczyła się krocząc bezszelestnie obok niego po wytartych schodach.

Oddech kobiety zbliżył się do jego twarzy.

— Nie powinien był pan tu przychodzić — szep- tała ucichającym szeptem, jak gdyby umierała na jego piersi. — Boże, co pan musi myśleć o mnie! On nazywał się Jurij, tak jak pan... Umarł w po- ciągu sanitarnym, dawno, kiedy byłam siostrą mi- łośnierdzia...

Berestowiec oparł się plecami o ścianę, dotyka- jąc obiema rękami jej zimnej, chropowatej po- wierzchni. Pomyślał, że zachowuje się bardzo śmiesznie, ale nie miał gdzie się podziać, gdyby zrobił nawet pół kroku — spadliby oboje ze stro- mych schodów.

— Zapomniałam o wszystkim, nie chciałam o niczym wspominać...

Jurij stał bez ruchu, jakby wtopił się w ścianę, wstrząsała nim odraza połączona z litością, oszo- łołomił go zapach traw czy kadzideł — niech лихо porwie te pachnidła — sam nie wie, co to było. Widział już tylko pokój w dowództwie artylerii, stolik w kącie przy oknie, a przy stoliku ostrzyżo- ną na chłopca dziewczynę, jej białe ręce nad kla- wiszami maszyny do pisania. Kapitan nie miał żadnych zobowiązań wobec tego marzenia, nigdy nie rozmawiał z tą dziewczyną, tylko jeden raz był w dowództwie artylerii i to bardzo dawno, może przed rokiem, ona nic o nim nie wiedziała, nie mogła nawet wiedzieć o jego istnieniu, lecz kapitan Jurij Berestowiec myślał w tej chwili tyl- ko o niej, wiedział, że jest jej przeznaczony i nie chciał żadnej innej władzy nad sobą.

Mniszka cicho odsunęła się od niego i rzekła zdławionym głosem:

— Niech mi pan przebaczy, na miłość boską...

Berestowiec bez słowa poszedł schodami w dół.

Ceglana ścieżka zadźwięczała pod jego butami. Wysokie czarne drzewa zlewały się nieomal z ciemnością, za nimi białął niski masywny mur klasztorny, niby mur fortecy.

Kapitan Berestowiec ruszył wolno krótką ścieżką. Nie wiedział, o czym myślała mniszka podczas rozmowy z nim, pamiętał tylko wypowiedziane przez nią słowa, zwyczajne słowa, jakie mógłby usłyszeć od każdej innej kobiety, lecz coś mówiło mu, że krył się za nimi utajony sens, że tajemnica obcego życia nie ujawniła się przed nim całkowicie, że istnieje głęбина, do której nie sążone mu było dotrzeć tej nocy.

Przeniknął go niezrozumiały smutek. Jurij Berestowiec nie wiedział, jak go określić, lecz niejasno zdawał sobie sprawę, że ten szczególny smutek, niepodobny do żadnego innego, że to niepokojące i nowe dla niego uczucie czyni go dojrzalszym i mądrzejszym, podnosząc go jednocześnie nad powszednim życiem i utwierdzając go w tej egzystencji, która nie ograniczała się teraz do jego osoby, lecz obejmowała całe znane mu i nie znane życie.

Nie odczuwał wrogości do mniszki. Nie szydził z niej, nie nienawidził i nie czuł dla niej litości; raczej swoją istotą niż rozumem pojął w tej chwili, iż wbrew osobliwej szacie i osobliwemu miejscu zamieszkania, wbrew lampce w kącie, wbrew modlitwom, postom, pokucie i owemu dziwacznemu kadzidłu, rwało się do niego przed chwilą żywe życie, i choć nie było podobne do jego życia, nie przestawało być życiem i żądało zrozumienia.

Wydawało mu się, że słyszy coś za sobą, tam, w ciemnym wylocie drzwi, na startych schodach. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Wiatr targał czarne drzewa, zderzały się ze sobą i szemrały cicho. Noc obstępowała go ze wszystkich stron. Nie, to mu się przywidziało, nikt nie płakał, nikt nie wołał go.

Kapitan poszedł w stronę furtki zwolnionym krokiem, pogrążony w niezwykłych rozmyślniach. Nie miał jeszcze odpowiedzi na pytanie, które zrodziło się w nim, kiedy przestąpił próg klasztoru. Lecz już nie było w nim strachu przed tym, co dotąd było dlań niezrozumiałe.

Jurij Berestowiec jakby naprawdę przeszedł tej nocy jakiś mroczny, czarny, głęboki i groźny bród, a przebrnąwszy przezeń zrozumiał nagle z całą jasnością, że żadnych tajemnic, jakkolwiek je ludzie nazywają, nie ma, że jest tylko życie i nie powinien się go bać, tak samo jak nie boi się śmierci. To, co zdawało się proste, okazało się w rzeczywistości skomplikowane, lecz kapitan nie bał się teraz tej złożoności — nie pozwalała na zastój, zmuszała do myślenia i wybierania ze wszystkich dróg jedynie możliwej drogi dla własnej duszy.

— Juriju... Juriju Siergiejewiczu!

Berestowiec stał już przy furcie. Na ceglanej ścieżce rozległy się szybkie, drobne kroki. Szerokie rękawy habitu z jedwabistym szelestem wlatywały nad ścieżką, jakby go ścigał czarny ptak nocny. Kapitan Berestowiec schylił się i przecinając głową zastygłe ciepłe powietrze pod sklepieniem furty, wyszedł na ulicę.

Ciężarówka nie stała już przed szlabanem, tam gdzie ją zostawił, lecz na drodze, przed punktem żywnościowym. Kierowca spał, oparłszy głowę na kierownicy. Berestowiec wsiadł do szoferki. Nie zamknął jeszcze za sobą drzwi, kiedy dosłyszał głosy na progu punktu żywnościowego.

— Dzięki za śledziki — rozległ się chichotliwy głos siostry Horpyny. — Matka przeorysza z przyjemnością zjadła coś słonego, sierżancie...

W głosie siostry Horpyny zabulgotał śmiech, jakby woda wylała się z butelki, a ciemność powstrzymała ten bulgot i odezwała się głosem sierżanta:

— Takie śledzie, jakie są, przecież ja ich nie robię...

— Oczywiście — zabulgotała siostra Horpyna — oczywiście... Ale gdybyście tak mieli dla nas jeszcze troszkę herbaty, bo nie mamy czym ugościć waszych oficerów, dasz wiarę, sierżancie, nic już nie mamy...

— Przyjdź jutro o tej samej porze, może się znajdzie — odparł znacząco głos sierżanta.

Znów zabulgotał śmiech siostry Horpyny, ciemny cień prześliznął się przed szoferką, potem Berestowiec zobaczył na progu punktu białe skarpety sierżanta. Wykonały one w lewo zwrot i znikły. Cicho zgrzytnęły drzwi, szczęknęły zasuwki. Mrok zgęstniał, teraz słychać było tylko senny oddech kierowcy.

Jurij trącił go w łokieć.

— Co? — obudził się kierowca. — To wy, towarzyszu kapitanie? Napiliście się herbaty?

— Jedziemy — rzekł chmurnie Berestowiec.

— Przecież most jest zniszczony, czy wam nie wszystko jedno, gdzie będziemy stali?

— Pogapimy się na saperów, będzie weselej...

Kierowca ociągając się wylazł z kabiny. Berestowiec usłyszał gniewny zgrzyt korby zapuszczającej silnik.

1966—1968

BIBLIOTEKA «JEDNOROŻCA»

Ukazały się następujące tomiki tej serii:

- URIEL ACOSTA — Wizerunek własny żywota
CZINGIZ AJTMATOW — Dżamila
CZINGIZ AJTMATOW — Twarzą w twarz
AKUTAGAWA RYUNOSUKE — Kappy
MARIANA ALCOFORADO — Listy miłosne
IVO ANDRIĆ — Anika
JERZY ANDRZEJEWSKI — Złoty lis
APULEJUSZ — Amor i Psyche
MIGUEL ANGEL ASTURIAS — Zwieradiło Lidy Sal
JAMES BALDWIN — Dziś rano, dziś wieczór, tak prędko
MARCIN BIELSKI — O Skanderbegu Macedonie, albańskim księżęciu
HEINRICH BÖLL — Kiedy wojna wybuchła. Kiedy wojna się skończyła
HORTENSE CALISHER — Na krańcach magii
ALBERT CAMUS — Obcy
ONELIO JORGE CARDOSO — Druga śmierć „Kota”
MIGUEL CERVANTES — Licencjat Vidriera
ADALBERT CHAMISSO — Przedziwna historia Plotra Schlemihla
ASCANIO CONDIVI — Żywot Michała Anioła
MARIA DĄBROWSKA — Łucja z Pokucic. Zegar z kukułką
TIBOR DĚRY — Olbryzm
DENIS DIDEROT — Mistyfikacja. Sen D'Alemberta
HEIMITO VON DODERER — Trąby Jerychońskie
THEODORE DREISER — Miraż złota
FRIEDRICH DÜRRENMATT — Kraksa
STANISŁAW DYGAŁ — Karnawał
JEANNE FAURE-COUSIN — Żegnaj, Berto
ENDRE FEJES — Fryga, czyli Człowiek, któremu się nie udało
LION FEUCHTWANGER — Odyseusz i wieprze
F. SCOTT FITZGERALD — Historia jednego wyjazdu
ERICH FRIED — Pożar
DAVID GARNETT — Niezwykła historia o pani zamienionej w lisa
MIKOŁAJ GOGOL — Płaszcz
LOUIS GUILLOUX — Konfrontacja
ALBERT PARIS GÜTERSLOH — Kain i Abel
TOMASZ HARDY — W pewnym miasteczku
BOHUMIL HRABAL — Pociągi pod specjalnym nadzorem
FRANTIŠEK HRUBIN — Złota reneta
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — Brzezina
WALTER JENS — Pan Meister

EUGENIUSZ JEWTUSZENKO — Pearl Harbour
JULIAN KAWALEC — Szukam domu
MOHAMMED KHAIR-EDDINE — Agadir
CIRIL KOSMAČ — Tantatin
PÄR LAGERKVIST — Gość w rzeczywistości
LAO SZE — W cieniu Świątyni Wielkiego Miłosierdzia
LEONID LEONOW — Zapiski Kowiakina
DORIS LESSING — Pokój Nr 19
ARTUR LUNDKVIST — Upadek Jerycha
BORYS ŁAWRIENIEW — Czterdziesty pierwszy
WŁODZIMIERZ MAKSIMOW — A człowiek żyje...
CARSON McCULLERS — Ballada o smutnej knajpie
HERMAN MELVILLE — Billy Budd
PROSPER MÉRIMÉE — Lokis
HENRI MICHAUX — Niejaki Piórko
HENRY MILLER — Uśmiech u stóp drabiny
JURIJ NAGIBIN — W leśniczówce
DOMINIQUE VIVANT DE NON — Chwila ulotna
CYPRIAN NORWID — Białe kwiaty
CYPRIAN NORWID — Legendy
CYPRIAN NORWID — Trylogia włoska
CHARLES LOUIS PHILIPPE — Dobra Magdusia i Biedna Marynia
LUIGI DA PORTO — Romeo i Julia
ALEKSANDER PUSZKIN — Dama Pikowa
JOSE REVUELTAS — Zasnąć w ziemi
RAINER MARIA RILKE — Ewald Tragy
TADEUSZ RÓŻEWICZ — Śmierć w starych dekoracjach
ADOLF RUDNICKI — Niekochana
Rzecz o Alkasynie i Nikolecie
HENRYK SIENKIEWICZ — Ta trzecia
ALAN SILLITTOE — Samotność długodystansowca
AUGUST STRINDBERG — Romantyczny zakrystian z Rånö
WILLIAM STYRON — Długi marsz
SYNEZJUSZ Z CYRENY — Pochwała łysiny
MICHAŁ SZOŁOCHOW — Los człowieka
FRANK THIES — Angelika ten Swaart
WŁODZIMIERZ TIENDRIAKOW — Sąd
LEW TOŁSTOJ — Śmierć Iwana Iljicza
KOSTAS VARNALIS — Prawdziwa obrona Sokratesa
VERCORS — Milczenie morza
F. A. VILLIERS DE L'ISLE ADAM — Tortura nadziei
MIKA WALTARI — Cztery zmierzchy
PETER WEISS — Rozmowa trzech idących
FRANZ WERFEL — Śmierć drobnomieszczanina

STANISŁAW ZIELIŃSKI — Sny pod Fumarolą
WOJCIECH ŻUKROWSKI — Noce Ariadny
Żywot Łazika z Tormesu

Tytuły roku 1971:

HANNS CIBULKA — Czas rokitnika
EDOUARD DUJARDIN — Wawrzyny już ścięte
GERD FUCHS — Landru i inni
WALENTIN KATAJEW — Klocek
JOZSEF LENGYAL — Czarownik
LEONID PIERWOMAJSKI — Czarny Bród
WŁADYSŁAW ST. REYMONT — Sprawiedliwie
WALTER VOGT — Kaszel

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 10 000+290. Ark. wyd. 3,6. Ark. druk. 6.

Papier m/gł. kl. III. 70 g. z form. 74×90/32

Oddano do składania 26 stycznia 1971 r.

Podpisano do druku w kwietniu 1971 r.

Druk ukończono w lipcu 1971 r.

Zakłady Graficzne w Toruniu

Nr zam. 264. U-95

Cena zł 10,—

